Nr. 27 (1123). Warszawa, dnia 22 Czerwca (5 Lipca) 1902 r. **Rok XXII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



PRZYMIERZE ODNOWIONE.

Stało się, co się stać musiało: dnia 28 czerwca posłowie Austro-Węgier i Włoch w Berlinie: Szögenyi-Marich i Lanza podpisali z kanclerzem niemieckim Bülowem akt przedłużający na dalsze lata od r. 1903 umowę o tak zwane przymierze. Wszystkie przewidywania, nadzieje i niechęci — ustąpiły z drogi aniołowi miłości, mającemu odtąd zespalać serca trzech monarchów i potęgi trzech mocarstw. Przymierze potrójne stało się nałogiem nietylko formalnym, ale i w treść rzeczywistą zasobnym. Żadne z mocarstw na nowo związanych nie umiałoby wyobrazić się w innem towarzystwie, nie wiedziałoby, co z sobą zrobić, gdyby mu go zbrakło. Tylko jakaś wielka osobistość dziejowa, zjawiwszy się nagle u steru jednego z trzech państw sprzymierzonych, mogłaby pomyśleć o wyzwoleniu się z nałogu i rozpocząć wędrówkę po kniei pojedynkiem. W danych warunkach tak podmiotowych sił, jak i przedmiotowych konieczności nie pozostawało nic innego, prócz przedłużenia przymierza. Dlaczego je podpisano w Berlinie, a nie w Wiedniu lub Rzymie? Bo nie Wiedeń lub Rzym, ale Berlin przedewszystkiem ma z przymierza korzystać. Niemcy są potęgą i największą i najkorzystniej w przymierzu postawioną, one dyrygują tem triem politycznem, im też należało się pierwszeństwo.

Treści aktu nawet w najdalszem omówieniu nie wskazano; dotychczas nie wspomniano nawet o formie: czy jest nią umyślna konwencya, czy też prosty protokół; czy akt spisany jest wspólnym dla wszystkich, czy też składa się z trzech, a może tylko z dwóch pojedynczych; czy po za umową wspólną, stwierdzającą związanie się trzech mocarstw, niema poszczególnych, ustalających tylko związek pomiędzy dwoma, bez udziału i bez wiedzy nawet trzeciego? Czy wszystko, co zrobić chciano, powierzono papierowi, i czy nie było zobowiązań ustnych bądź zupełnie nowych, bądź odnawiających tylko dawniejsze? Na te wszystkie pytania, czysto formalne przecież, nie można dać żadnej odpowiedzi, a jeszcze większą jest niewiadomość publicystyki i dziennikarstwa europejskiego w zakresie samej treści umowy, czy też umów zawartych. To tylko wiedzieć można, co przynosi pamięć o pierwotnem przymierzu austryacko-niemieckiem z d. 15 października 1879 r., na którem zbudowane jest w głównej, wszystkim uczestnikom wiadomej i dla wszystkich korzystnej, treści t. zw. trójprzymierze: wszystkie trzy mocarstwa poręczają sobie swój stan posiadania i zobowiązują się wzajem dopomagać sobie do jego obrony czynnej. Jest to więc — ciągle w głównem, uświadomionem dla wszystkich trzech mocarstw założeniu — przymierze odporne. Takiem ono było od początku jeszcze jako podwójne, takiem też jest i w najnowszej swej postaci. O zaczepności mogły mówić tylko dzienniki bulwarowe paryskie.

Cokolwiek podpisano w Berlinie, jest to w każdym razie widowisko, któremu trudno dać nazwisko. Przymierze pierwotne było jasnem: Bismarck, wstrzymawszy rozpęd dyplomatyczny w San-Stefano, uczyniwszy Austryę państwem bałkańskiem, musiał dla zabezpieczenia własnego swego dzieła wziąć ją pod opiekę i osłonić potęgą niemiecką od przewidywanych ciosów, w tej nieprzesadzonej nadziei, że samem tylko przymierzem ciosy odwrócić zdoła. Mniejszą wagę miała dla Bismarcka wzajemność Austryi w stosunku ówczesnym Niemiec do Francyi, mająca się wyrazić czynną pomocą; zawsze on uważał Austryę, i z wewnętrznej budowy i z zewnętrznych stosunków, za takiego sprzymierzeńca, na którego liczyć nie można — i nie mylił się: Austro-Węgry mimo najuczciwszej woli i samego panującego i jego ministrów w chwili podpisywania przymierza nie dopomogłyby Niemcom skutecznie przeciwko Francyi po r. 1879, tak jak nie dopomogły wcale Francyi przeciwko Niemcom w roku 1870. Prawdopodobieństwo spadłoby do zera, gdyby na widownię wystąpiła Rosya. Tego mocarstwa Austro-Węgry w żaden sposób przeciwko sobie mieć nie chcą, na wojnę z niem się nie odważą i dlatego słusznie Bismarck nie wahał się nawet publicznie, przed Austryą, przed światem całym, w sejmie niemieckim o sprzymierzeńcu swoim powiedzieć: „Kein zuverlässiger Bundesgenosse."

W takiem położeniu, gdy pomimo owych słynnych kości grenadyera pomorskiego Niemcy same zobowiązały się dać nietylko kości pomorskie, ale i niejeden piszczel, niejedną łopatkę brandenburską w obronie austryackiej Bośnii i Hercegowiny—a w zamian nie spodziewały się ujrzeć żołnierza austryackiego ramię w ramię ze swoim nad Renem: przymierze całe zamieniło się tylko w kombinacyę, w pewien programat, nawet w systemat polityczny wzniesiony głównie przeciwko Rosyi. Do takiego to systematu w r. 1882 przystąpiły Włochy, równie jak Austrya z obowiązkiem dopomagania Niemcom przeciwko Francyi, a Austro-Węgrom przeciwko wszelkim siłom z zewnątrz na nie natrzeć mogącym. To przystąpienie Włoch do reszty już za-

gmatwało pojęcie przymierza jako zgodnego współdziałania do jednego celu, a przynajmniej w jednym kierunku. Były to jeszcze czasy Irredenty niewygasłej w duszach włoskich. Związanie się Włoch z Austryą, rzecz prosta, nie mogło mieć już nawet formalnie znaczenia przymierza, chociaż je niosła formalna treść aktu: Włochy zarówno ówczesne, jak dzisiejsze, nigdy przenigdy nie stanęłyby pod jedną chorągwią z Austryakami. Po co więc tam weszły? Aby wytworzyć wespół z Austro-Węgrami i Niemcami pewien układ sił, pewne zwarcie się woli w polityce europejskiej i wespół z niemi dawać przeciwwagę tym dążnościom materyalnie popieranym, które dla Niemiec szkodliwemi staćby się musiały. Z wejściem Włoch dwuprzymierze stało się rzeczywiście już tylko prostą kombinacyą sił, namiętności i myśli przewodnich. Austrya tkwi w niej uwięziona obawą Rosyi; Włochy dają się wodzić Berlinowi na pasku nadziei, że w przyszłej zawierusze, jak ongi w r. 1867, obłowią się i na nieprzyjaciółce swojej — Francyi, i na przyjaciółce — Austryi. Taka jest dusza trójprzymierza. Piękną chyba nazwać jej niepodobna.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Król Edward uniknął doraźnego niebezpieczeństwa, ale organizm znajduje się w stanie takiego wyniszczenia, osłanianego tylko przez dobrą tuszę, że wątpić potrzeba, czy nawet po wyzdrowieniu będzie mógł objąć rządy, aby rzeczywiście z ministrami rządzić. Byłaby teraz jakaś ujmująca powaga w zaniechaniu zupełnem koronacyi na wypadek, dość jeszcze zagadkowy, powrotu do zdrowia. Sprawami państwa, podpisywaniem dokumentów, zajmuje się następca tronu, książę Walii.

Boerów poddało się już przeszło 20 tysięcy, a złożono około 25 tys. karabinów. Z kilku tysięcy na wyspie św. Heleny 500 odzyskało wolność po zaprzysiężeniu wierności, w ich liczbie i Kronje. W Transwalu i w Oranii stan Edwarda VII wywołuje objawy współczucia, w umyślnych formach stwierdzane. Ludwik Botha i Schalk Burger wydali jeszcze dawniej do współobywateli odezwę, stawiającą im za przedmiot energii swoistej — pracę społeczną.

Cesarz austro-węgierski pismem odręcznem do obu prezesów ministrów ustanowił na przyszły rok budżetowy, od 1 lipca, kwoty obu połów monarchii w stosunku $66^{46}/_{49}$ dla Przedlitawii, $33^{3}/_{49}$ dla Węgier.

Senat francuski rozprawia nad służbą dwuletnią, popieraną gorąco przez ministra wojny, który nie zawahał się na brak 50 tysięcy, przewidywany w stanie czynnym armii, wskazać środka zaradczego w zmniejszeniu wymaganego wzrostu, a zwiększeniu liczby kapitulacyi, dobrowolnych układów z żołnierzami już wysłużonymi. Przez większy pobór wzrosną koszty o 70 mil. rocznie. Projekt Rolanda ma poważnych przeciwników; w przeszłym tygodniu oświadczyli się przeciwko niemu Mercier, Couverville, dawniej jeszcze Gallifet.

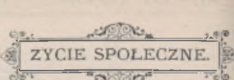
Izbę francuską nawiedziła d. 27 z. m. burza — o Humbertów. Wydął miechy Mirman, ów oficer - nacyonalista z Nancy — odrazu z pieluch politycznych wielki człowiek *à la Boulanger*. Skończyło się na uchwaleniu zaufania 496 gł. większości głosujących.

W gabinecie podobno już rysy i szpary: Rouvier chciałby reformy zapowiedziane w programie (ob. nr. z przeszłego tygodnia) poodkładać aż do uregulowania finansów — do nowego złotego wieku, Pelletan obstaje przy programacie. Odrazu już nie wróżono Combes'owi dłuższego żywota nad sześciomiesięczny.

Rosya uchyliła się od wprowadzania nowych urządzeń administracyjnych w Tien-tsinie. Za jej przykładem poszły: Francya, Japonia, Włochy. Anglia nie przywiązuje wagi do reform. Obowiązek prefektów i edylów spada na Niemcy, które dotychczas trwają na stanowisku. Krok rosyjski sprawił dobre wrażenie w Pekinie. Ostatecznie nowe urządzenia dostaną się pod nowe obrady. Zatarg o część kolei Szanhai-kuan między Anglią i Rosyą jeszcze ostatecznie nie załatwiony.

Sejm lwowski obradował jeszcze w bieżącym tygodniu. Obrady tegoroczne tak *in pleno* jak w kole sejmowem są prawdziwie zajmujące.





Listy galicyjskie.

Świeżo ogłoszono sprawozdanie Rady szkolnej krajowej za rok 1900—1901. Zawiera ono szereg bardzo zajmujących, a jednocześnie dość smutnie usposabiających cyfr, które świadczą wprawdzie o pewnym postępie, lecz stwierdzają zarazem, że jest on nadzwyczaj niedostateczny. Dotyczy to zwłaszcza szkolnictwa ludowego. Ze sprawozdania Rady szkolnej krajowej dowiadujemy się, że w roku ubiegłym ogólna liczba szkół ludowych publicznych wynosiła 4,323 (w roku 1899—1900 — 4,280). Niestety, liczba ta w rzeczywistości jest znacznie niższa, ponieważ wliczono tu nietylko 16 szkół ćwiczeń przy seminaryach nauczycielskich, ale i 238 „szkół,“ niemających dotąd ani budynku, ani nauczyciela, oraz 81, posiadających budynek, lecz pozbawionych nauczyciele. Pozostaje więc, po odliczeniu tych dziwnych okazów szkolnictwa galicyjskiego, zaledwie 3,988 szkół czynnych — i to na 6,240 gmin galicyjskich. A więc ogólna liczba szkół w Galicyi wzrosła w ciągu roku sprawozdawczego tylko o 65 czynnych.

Ze względu na język wykładowy było szkół polskich 2,131, rusińskich 2,163 i niemieckich 29. Cyfry te wywierają wrażenie, jak gdyby szkół rusińskich było więcej, niż polskich, co podnoszą często nasi domorośli bismarkowcy, ale w rzeczywistości rzecz się ma zupełnie inaczej, ponieważ *czynnych* szkół polskich było w okresie sprawozdawczym 2,033, kiedy rusińskich tylko 1,925. Wszystkie niemieckie szkoły ludowe są czynne.

O smutnym stanie szkolnictwa galicyjskiego świadczy i olbrzymia przewaga szkół jednoklasowych nad dwu i kilkoklasowemi. Mianowicie szkół jednoklasowych było 2,758, dwuklasowych 771, trzyklasowych 54, czteroklasowych 204, pięcioklasowych 107, sześcioklasowych 52 i wydziałowych 48. Przybyło w roku sprawozdawczym: 13 jednoklasowych, 44 dwuklasowych, 8 czteroklasowych, 3 pięcioklasowe i 4 wydziałowe; natomiast ubyło 6 szkół trzyklasowych i jedna sześcioklasowa. W porównaniu z rokiem poprzednim oka-

---

Z pamiętników Gorona.

I. Kobiety-pijawki.

(Dokończenie).

Jeszcze gwałtowniejsza scena, niż poprzednia, zaczęła się na ulicy; wokoło nich zebrał się tłum ciekawych i Jan, oczywiście, skorzystał z przybycia policyi, ażeby niepostrzeżenie zniknąć. Leontyna chciała już pobiedz za nim, lecz dozorcy porządku wzięli ją delikatnie za rękę i, naturalnie, musiała dać wyjaśnienia.

Całą noc wyczekiwała „zdrajcy,“ siedząc przy oknie. Kiedy nastał ranek, a „niegodziwiec“ nie pokazywał się, zadecydowała, że taki „wyrzutek“ godzien śmierci i że ona powinna go zabić.

Natychmiast też wybrała się do sklepu z bronią, kupiła rewolwer dużego kalibru i prosiła właściciela o nabicie, mówiąc, że mieszka na wsi, gdzie ukazała się szajka zbójów; następnie pojechała na bulwary i zaczęła oczekiwać przyjścia Jana do kawiarni, w której zwykle pijał śniadanie. W określonym czasie młody człowiek pokazał się na bulwarze. Bez żadnej obawy wszedł do kawiarni, lecz nagle przed samemi drzwiami zjawiła się Leontyna. Rozległy się dwa wystrzały i nieszczęśliwy upadł, brocząc we krwi.

Nie zważając na to, że już leżał, zbrodniarka wymierzyła do niego po raz trzeci i, prawdopodobnie, zabiłaby go na miejscu, gdyby przypadkowy przechodzień nie trącił ją w rękę; Jan był uratowany, a kula lekko zraniła zupełnie niewinnego gapia, który wyglądał przez okno, zaciekawiony wystrzałami.

Tymczasem winowajczyni dostała ataku nerwowego, skutkiem czego zawieziono ją do najbliższego szpitala. Ciężko poraniony Jan błagał, gdy usłyszał, że chcą go także tam odwieźć, by go umieszczono gdziekolwiek indziej, zdala od tak serdecznie kochającej go osoby.

Postawiona przed paryskim sądem kryminalnym, Leontyna zręcznie i z powodzeniem broniła się, udając ofiarę bezgranicznej miłości dla „najukochańszej istoty“ (!?); według jej własnych słów, ona tak ubóstwiała Jana, że dzięki tej miłości zupełnie straciła głowę i stanowczo nic nie wiedziała, co robi. Płakała, załamywała ręce, słowem potrafiła tak wszystkich zainteresować, że „dobrzy przysięgli“ byli wzruszeni. Oprócz tego biedak Jan, który już nieco wyleczył się, uważał za obowiązek dżentelmena prosić również sąd o pobłażliwość. Skutkiem tego przysięgli przyznali wszystkie okoliczności łagodzące, i sąd skazał Leontynę na 8-miesięczne więzienie.

W Saint-Lazare, gdzie ją zamknęli, prowadziła się doskonale i tak się podobała siostrom-mniszkom, że po czterech miesiącach została zupełnie wypuszczona na wolność. Tego samego dnia, po wyjściu z więzienia, napisała do Jana list następujący:

„Kochany przyjacielu! Tylko co mnie wypuścili z Saint-Lazare. Mam nadzieję, że przyjdziesz mnie odwiedzić i nie zmusisz do odszukiwania ciebie. Przypuszczam, że rozumiesz. — Leontyna.“

Łatwo się domyśleć, że Jan nie poszedł na tę przyjemną schadzkę. Lecz przy wyjściu z kantoru następnego dnia zauważył miłą osóbkę, która, jak gdyby nigdy nic, oczekiwała na niego u podjazdu. Oczywiście dotrzymała słowa i sama się ukazała.

zuje się, że reorganizacya szkół niższych na wyższe znacznie zwolniała w tempie, gdyż w r. 1899—1900 przybyło szkół dwuklasowych 69, czteroklasowych 12, sześcioklasowych 7, wydziałowych 8.

Na obowiązkową naukę codzienną uczęszczało w r. 1900—1901 ogółem 670,105 dzieci, mianowicie 349,579 chłopców i 320,526 dziewcząt. Sprawozdanie Rady szkolnej krajowej podaje, że liczba wszystkich dzieci, obowiązanych do uczęszczania na tę naukę wynosi 923,118. Z tego by wynikało, że 253,113 dzieci w wieku szkolnym (tj. od lat 12 do 16) nie pobierało wcale nauki. Tymczasem jest znacznie gorzej, gdyż Rada szkolna krajowa uwzględnia w swej statystyce jedynie dzieci z tych gmin, które posiadają u siebie lub w pobliżu szkoły. Według ostatniego spisu ludności liczba dzieci w wieku szkolnym wynosi w Galicyi 1,015,756, to też nie 253,113, ale 345,651 dzieci pozbawione jest wszelkiej nauki szkolnej.

W roku sprawozdawczym w gminach, posiadających szkoły, przybyło 24,930 dzieci w wieku szkolnym. Ponieważ jednak dzieci, uczęszczających na naukę codzienną, przybyło w tym czasie 24,593, widzimy więc, że przyrost dzieci, uczęszczających do szkoły, jest mniejszy od przyrostu dzieci w wieku szkolnym. Jeśli więc analfabetyzm w Galicyi cofa się, to jedynie wskutek wymierania analfabetów starszego pokolenia... Smutne, ale prawdziwe!

Z liczby 225,534 dzieci od lat 12 do 15, obowiązanych do uczęszczania na naukę dopełniającą, pobierało ją o 100,000 dzieci mniej, niżby należało. Charakterystyczne, że na jedną klasę galicyjskich szkół ludowych przypada przeciętnie przeszło 84 dzieci, w niektórych zaś miejscowościach dochodzi do setki z górą. Są zresztą i takie szkoły, w których jeden nauczyciel uczy 150—200 dzieci.

Wogóle szkolnictwo galicyjskie cierpi na brak sił nauczycielskich. W roku sprawozdawczym było ich ogółem 8,323, mianowicie 4,164 mężczyzn i 4,159 kobiet. Z patentem nauczycielskim było 3,303 nauczycieli i 2,511 nauczycielek, ze świadectwami dojrzałości — 722 i 674, bez kwalifikacyj 139 i 974. Uderza w tem zestawieniu nadzwyczaj nieproporcyonalna liczba nauczycielek w stosunku do nauczycieli. I wogóle wzrost żeńskich szkół nauczycielskich jest olbrzymi, „naturalnie skutkiem szczupłego uposażenia nauczycielstwa galicyjskiego. W r. 1890—91 nauczycielek było 1,795, a więc w ciągu dziesięciolecia przybyło 2,364 sił żeńskich, kiedy liczba nauczycieli powiększyła się w tym czasie o 282. Nie byłoby to jeszcze tak ujemne, gdyby powiększała się ogólna liczba wykwalifikowanych nauczycielek. Tymczasem zwiększa się głównie liczba niewykwalifikowanych. W roku 1890—91 było tych ostatnich 279, gdy dziś jest ich 974. Należy zaznaczyć, że w przeciągu tego samego okresu liczba niewykwalifikowanych nauczycieli zmniejszyła się o 135.

W 1900 r. 357 mężczyzn złożyło egzaminy w seminaryach nauczycielskich, ale nowych nauczycieli przybyło w tym samym roku zaledwie 33. Reszta zmuszona była szukać chleba gdzieindziej, nie mogąc się odważyć na przymieranie głodem na posadzie nauczyciela. Równocześnie na 294 kandydatek, które złożyły w r. 1900 egzamin dojrzałości, przybyło zawodowi nauczycielskiemu 296 sił żeńskich.

Ażeby zapobiedz gromadnemu uciekaniu nauczycieli do straży skarbowej, do żandarmeryi, a nawet do służby tramwajowej, należałoby poważnie pomyśleć o zaspokojeniu słusznych żądań nauczycielstwa, dotyczących podwyższenia płac. Setki podań, mnóstwo artykułów prasy opozycyjnej, pochodzących ze sfer nauczycielstwa, ogólne oburzenie postępowej części społeczeństwa galicyjskiego — wszystko to nie mogło skłonić sfer panujących w Galicyi do żadnego poważnego kroku w tym kierunku. Ci, dla których analfabetyzm ludności wiejskiej jest najlepszą gwarancyą utrzymania nizkich płac roboczych, świadomie pragną zahamować wszelki postęp na polu szkolnictwa ludowego, a referent komisyi szkolnej w sejmie, książę Czartoryski, oświadczył w swem sprawozdaniu, że kraj już dość zrobił dla szkolnictwa ludowego i przez szereg lat nic w tym kierunku robić nie potrzebuje. Jedynem zadaniem w dziedzinie szkolnictwa na szereg lat najbliższych ma być, według niego, przeprowadzenie pomnożenia godzin nauki religii.

W ostatnich czasach jednak wyrazy oburzenia na taką gospodarkę były zbyt silne i w łonie samego nauczycielstwa, i na szpaltach prasy opozycyjnej, ażeby koła rządzące nie poczuły się do obowiązku przedsięwzięcia bodaj jakiejś łataniny. Otóż więc zaraz na pierwszem posiedzeniu sejmu lwowskiego Wydział krajowy wystąpił z projektem regulacyi płac nauczycieli ludowych. Już podczas poprzedniej sesyi sejmowej mówiono, że na ten cel przeznaczy się milion koron rocznie, lecz świeżo ogłoszony projekt jest daleko skromniejszy.

Podwyższenie płac dotyczy nauczycieli II, III i IV klasy, a nadto nauczycieli młodszych i tymczasowych. W II klasie, zamiast dotychczasowych trzech kategoryj płac (1,200, 1,400 i 1,600 koron) proponowane są dwie kategorye, tj. dla trzech czwartych ogółu posad po 1,400 kor., a dla reszty po 1,600 k. W tym samym stosunku mają być uregulowane płace i w innych klasach. Oprócz tego Wydział krajowy proponuje złagodzenie skutków pewnych postanowień dyscyplinarnych. Podwyższenie to pociąga za sobą wydatek w sumie 670,000 koron, czyli około 80 k. na głowę. Jakkolwiek proponowana regulacya „płac" polepsza do pewnego stopnia położenie materyalne nauczycieli, to jednak dobrą mogła ona być chyba przed dziesięciu laty. Dziś, kiedy płace urzędnicze zostały podnoszone, nauczyciele i po regulacyi pozostaną kopciuszkami. Po dawnemu więc liczba uciekających z posad nauczycielskich do różnych udziałów urzędniczych będzie znaczna.

Dotychczas nauczyciele ludowi w Galicyi uciekali się prawie wyłącznie do podań, które zwykle bywały wrzucane do kosza. Dopiero w ostatnich czasach poczyna i wśród potulnego nauczycielstwa galicyjskiego świtać myśl przeniesienia walki na pola polityczne. Najenergiczniejsi nauczyciele poczęli przychodzić do przekonania, że jedynem wyjściem i dla nich jest zniesienie przewagi panującej dziś w Galicyi kliki konserwatywno-klerykalnej. W tym celu i nauczycielstwo powinno wytworzyć organizacyę polityczną, którаby dopomagała opozycyjnym stronnictwom ludowym w ich walce z reakcyą przy wyborach do sejmu i do parlamentu w zamian za poparcie żądań nauczycielskich w ciałach parlamentarnych. Uchwała, powzięta w tym kierunku przez komisyę powszechnego wiecu nauczycielskiego, została ogłoszona w pismach nauczycieli (*Szkoła* i *Gazeta szkolna*) wraz z wezwaniem do składek miesięcznych. Każdy nauczyciel ma płacić miesięcznie 10 centów. Jako cel swoich dążeń komisya wiecowa uchwaliła wytrwale i niezmiennie zmierzać do zrównania płac nauczycielskich z płacami urzędników państwowych trzech niższych kategoryj.

Do tego celu ma prowadzić ponowne jeszcze przedstawienie sprawy sejmowi; gdyby zaś ta droga zawiodła, ma być zredagowane pismo manifestacyjne z przedstawieniem pokrzywdzenia nauczycielstwa. Ma się ono zastanowić i nad urządzeniem powszechnego strejku nauczycieli. Jako środek uboczny służyć będzie bojkotowanie pism, które nie popierają rzetelnie spraw

---

— Proszę cię — rzekła do niego— wróć do domu!

Pierwszy raz usłyszał z jej ust prośbę. Lecz mimo to, pomyślawszy o scenach przeżytych, o tem piekle domowem, które bezwątpienia powtórzyłoby się przy pierwszej sposobności, Jan odpowiedział stanowczo:

— Za żadne skarby świata, lepsza śmierć, niż taka katorga!

Jędza doprowadziła poczciwca do tego, że dobroć i prośby już na niego zupełnie nie działały; przytem nie potrafiła utrzymać się w swej roli do końca i odrazu zmieniając ton, z nienawiścią w głosie krzyknęła:

— Aha! Więc ty chcesz umrzeć? Pięknie, twoje życzenie będzie spełnione!

Przypomniawszy sobie jej pierwszy napad, Jan instynktownie chwycił ją za rękę, lecz ona odrzekła z uśmiechem:

— O, nie niepokój się, kochanku, nie teraz jeszcze! Lecz wkrótce mnie ujrzysz!

Nazajutrz i innych dni Leontyna znowu czekała na niego przy kantorze, lecz najwidoczniej nie miała broni. Kończyło się tylko na brutalnych scenach, które gromadziły ciekawych widzów. Zmordowany, wyprowadzony z cierpliwości, nieszczęśliwy człowiek zwracał się i do policyi, lecz tu odpowiadano mu stanowczo, że kłótni domowych prawo nie przewidziało i proszono o „rozejście się." Jan próbował wszelkich środków, ażeby uwolnić się od prześladowań tej pijawki: wychodził z kantoru tylnymi schodami, przestał uczęszczać do swojej kawiarni i, spacerując wieczorem, przyczepiał sztuczną brodę. Lecz wszystko naprożno! Wszędzie chodziła za nim, a raz dogoniła go na jednej z ulic przedmieścia Montmartre, uderzeniem pięści zwaliła kapelusz w błoto i krzyknęła na cały głos:

— Poczekaj, nędzniku! Nie uciekniesz przede mną, zabiję cię, jak psa!

Groźba była wyrzeczona głośno, wszyscy ją słyszeli. Policyanci zatrzymali Leontynę i zaprowadzili do oddziału prefektury. Lecz tutaj podczas sądu policyi poprawczej, tak zręcznie poprowadziła sprawę, że wzruszyła sędziego śledczego; znowu odegrała rolę beznadziejnie zakochanej, tak serdecznie płakała, że wypuszczono ją po raz drugi.

Jednakże następnego dnia Leontyna znowu zaczęła swój pościg, tak że ostatecznie zyskała pewną sławę w dzielnicy, gdzie mieszkał Jan, i gdzie znajdował się jego kantor. Miejscowe kumoszki kłaniały się jej, zagadywały i z solidarnością właściwą kobietom, gdy sprawa się tyczy obrony płci „słabej" przeciwko tyranii mężczyzn, stawały po stronie Leontyny i mówiły:

— Ależ ona ma racyę: koniec końców nie można przecie rzucać kobiety, która kocha!

Na drugi dzień po Nowym Roku Leontyna posłała następującą karteczkę:

„Kochany przyjacielu! Jestem tak roztargniona, że zapomniałam ci powinszować wczoraj. W tych dniach przygotuję ci „prezencik." Twoja na wieki, Leontyna."

Doprowadzony do rozpaczy temi groźbami, nieszczęśliwy Jan już zadawał sobie pytanie, czy nie lepiej będzie odrazu zastrzelić się, niż cierpieć tę ciągłą mękę. Jednakże zdecydował się jeszcze spróbować ostatniego środka i poszedł do komisarza policyjnego swojej dzielnicy. Lecz komisarz był człowiekiem mrukliwym, nadzwyczaj zajętym i na doniesienie biednego człowieka odpowiedział, że policya jest zawalona pracą, że literalnie nie ma czasu, ażeby pilnować kobiet, które robią „sceny domowe," chociażby nawet na ulicy.

oświaty i żądań nauczycielskich. Nauczycielstwo przyrzeka popierać działalność politycznych stronnictw ludowych zarówno polskich, jak i rusińskich.

We Lwowie odbył się zjazd członków „Uniwersytetu ludowego,“ najpoważniejszej obecnie instytucyi na polu szerzenia oświaty pozaszkolnej w Galicyi. Najważniejszą jego pracą jest urządzanie popularnych wykładów naukowych w miastach i po wsiach. Działalność „Uniwersytetu ludowego“ w roku ubiegłym świadczy o znakomitym rozwoju instytucyi. Liczba wykładów dosięgła 631 z udziałem 100,649 słuchaczy, kiedy w ciągu *dwu* lat poprzednich wykładów było 751, słuchaczy zaś 116,573. Wprowadzono w życie wydawnictwa broszurowe i wydano pierwsze cztery broszurki. Powstają coraz to nowe oddziały na prowincyi i „Uniwersytet ludowy“ dociera obecnie nietylko do najdrobniejszych miasteczek, ale i do wiosek, pomimo niechętnego stanowiska władz, kleru i wogóle wszystkich tych czynników, którym oświata ludu galicyjskiego jest solą w oku.

Daleki.

STANOWISKO SPOŁECZNE PRACY WSPÓŁCZESNEJ.

III.

Ogarnąwszy w ogólnym zarysie całokształt stosunku roboczego, przejdziemy teraz do szczegółów.

Przedewszystkiem nastręcza się sprawa terminu kontraktowego. W przeciwieństwie do stałych stosunków, właściwych okresowi patryarchalnemu, nastąpiło, jak widzieliśmy, w nowszych czasach rozluźnienie wiązadła, łączącego pracodawcę z pracobiorcą. Kontrakty jednoroczne utrzymały się tylko w rolnictwie i w stosunku służbowym, gdy przemysł przez długi czas dążył do możliwego skrócenia terminu, a nawet wprost do zniesienia go. Z początku niezależność i możność zerwania umowy w każdej chwili wydawała się obu stronom stanem normalnym. Jeden czuł się zadowolonym, iż może uwolnić się z więzów, gdyby go zbytnio cisnęły, a drugi — iż rozmiary swej wytwórczości może przystosować do stopnia ożywienia obrotów. Ta dążność wzmagała się coraz silniej i wywoływała nieustanny odpływ i przypływ personelu pracującego. Doszło wprost do tego, że w niektórych, angielskich np., gałęziach pracy (krawiectwo i praca dokowa), stałe zajęcie jest czemś nienormalnem; zawierane tu czasem bywają umowy na godzinę lub kilka. Dopiero w ostatnich czasach odczuto uciążliwość koczownictwa roboczego, a po drugiej stronie ciągłe odnawianie personelu, który nie potrafi zżyć się z zakładem. Pomimo zatem zachowania starej formy kontraktowej lub zaprowadzenia, zgodnie z przepisami, prawa dwutygodniowego terminu, wyłoniło się życzenie usunięcia małych zmian w stosunku najmu pracy. Nowsi ekonomiści żądają uprzedniego wysłuchania w każdym poszczególnym wypadku opinii sądu rozjemczego. Lepsze zakłady przemysłowe polecają tego rodzaju sprawy t. zw. wydziałom roboczym. Francya ustanowiła w 1890 r. prawo o odszkodowaniu pracownika w razie nieuzasadnionego wymówienia mu posady. Stowarzyszenia zawodowe pragną znowu, aby bez porozumienia się z nimi nie zrywano żadnego kontraktu itd. Słowem, jak się okazuje, rozwój usiłuje tu pogodzić dwie przeciwne dążności: z jednej strony każda grupa chce mieć niezwiązane ręce dla wyzyskiwania na swą korzyść konjunktury, z drugiej zaś — dąży się do posiadania długoletniego, a nawet dożywotniego zajęcia lub też utrzymania stałego wyszkolonego sztabu rolniczego. Pod tym względem zachodzą zresztą wielkie różnice, zależne od narodowości. Amerykanie np. nie odczuwają wcale skrupułów, gdy chodzi o wyrzucenie na bruk człowieka. Przypomnimy tu owo nagłe zwalnianie z roboty tysięcy ludzi jedynie dla celów spekulacyi giełdowej, o którem wspominaliśmy przy innej sposobności na łamach *Prawdy*.

Widzieliśmy zatem, że kontrakt stracił w nowszych czasach swą aureolę i moc obowiązującą, jaką posiadał niegdyś. Zgodnie z tem starodawne ceremonie, towarzyszące mu orgie, wyszły z mody. Odrzucono nawet spisanie dokumentów, na których się dawniej opierał. Tak zwane książki robocze stały się ciężarem przedewszystkiem dlatego, że dawały ciągle powód do nieporozumień, a oprócz tego układały w jeden nieprzerwany łańcuch zależności wszystkie kolejne stosunki robocze pracowników, gdyż umożliwiały zbyteczną kontrolę i zachęcały do niej. Najlepszem świadectwem tego są przeczące duchowi czasu książeczki służby domowej.

Wspomniane tu strony stosunku roboczego nikną co do swej doniosłości w zestawieniu z czasem roboczym, od którego rozmiarów zależy fizyczny i kulturalny rozwój ludu pracującego. Początek i koniec dnia roboczego ustalał się w rozmaitych okresach historycznych zależnie od odpowiednich warunków życiowych. W średnich wiekach np. nabożeństwo poranne i wieczorne nakreślało granice zajęcia, a licznie obchodzone w owych czasach święta dostarczały organizmowi ludzkiemu aż nadto odpoczynku. Gdy zaś to nie wystarczało, chwytano się jeszcze poniedziałkowania. Praca nocna była surowo zakazaną na mocy przepisów policyi ogniowej. Wszystko to później minęło, jak sen i pozostało tylko wspomnieniem ze starych, dobrych czasów. Już w XVI stul., kiedy płaca robocza ulega stopniowemu obniżeniu, kiedy ucisk społeczny wzmaga się ustawicznie, czas pracy wydłuża się. W pierwszej połowie XIX stulecia dosięga nareszcie 12, 15 i 17 godzin nietylko dla osób dorosłych, ale i dla nieszczęsnych dzieci. Odpoczynek niedzielny i nocny przestaje obowiązywać i wreszcie następują stosunki, których opis czyta się z najeżonymi na głowie włosami. Utrzymaniec społeczny Senior zbudował teoryę, iż właściwy zysk przemysłowy wyłania się z pracy dopiero w ostatniej godzinie. Chciwość jednych i tępość drugich potakiwała tej teoryi. Nareszcie po długich walkach nastąpiła reakcya, z którą szły ręka w rękę humanitarność, hygiena, nauka społeczna i inicyatywa rządu. Angielscy przedsiebiorcy kolejowi wykazali, iż w krajach o źle opłacanej pracy i przy długim dniu roboczym wytwórczość znajduje się na nizkim poziomie, rośnie zaś przeciwnie z ulepszeniem warunków pracy. Oddzielni przedsiebiorcy na własną rękę podjęli się doświadczeń w duchu tego spostrzeżenia i doszli niebawem do przekonania o zbawiennym wpływie tego rodzaju reform. Rządy wszystkich krajów poszły za głosem humanitarności, a ogół domagał się coraz większego skrócenia czasu, zatrzymując się nareszcie na żądaniu pracy ośmiogodzinnej. Hasło wydano w całej Europie, ale dotychczas nie zdecydowano jeszcze, w jakiej formie program ten da się urzeczywistnić. Trzeba bowiem zauważyć, że niektóre grupy przedsiebiorców bronią się wszelkiemi siłami przeciw jakiemukolwiek skróceniu czasu pracy wogóle. Tak np. gdy rząd niemiecki postanowił zaprowadzić tego rodzaju humanitarną reformę w piekarniach, wszczęła się burza, która szalała wściekle przez cztery lata. Jeszcze po dzień dzisiejszy wznawiają piekarze swe skargi przeciwko wyrządzonej im krzywdzie.

Daleko mniej walk kosztowało żądanie

Nie znajdując pomocy u władzy, Jan sam się postanowił bronić i natychmiast poszedł kupić rewolwer. Nic nie może być straszniejszego, niż skromny i spokojny człowiek, doprowadzony do wściekłości. Tymczasem złośliwa jędza przygotowywała zemstę, o której tak długo marzyła: znalazła sposób, jak jej się wydawało, najdogodniejszy, a straszniejszy, niż rewolwer lub nóż, straszniejszy od samej śmierci!

I oto razu pewnego, w czasie obiadowym, zręcznie się schowała w bramie domu sąsiadującego z jego kantorem. Wiedziała, że, wracając, będzie musiał ją minąć.

Jan ostatnimi czasy chodził po ulicach z wszelkiemi ostrożnościami i przypominał amerykańskiego trapera, gonionego przez czerwonoskórych: szedł, starannie oglądając się na wszystkie strony i wypatrując, czy nie widać gdzie niedaleko tej wstrętnej furyi. Jednakże przeszedł blizko niej, nic nie zauważywszy, tak zręcznie schowała się w bramie. Zaledwie oddalił się parę kroków, rzuciła się za nim, wyjęła z małego woreczka butelkę z kwasem siarczanym i wylała go z tyłu na głowę biedaka. Rzuciwszy butelkę, chciała uciekać, lecz rozwścieczony Jan nagle się obrócił, wyciągnął rewolwer i strzelił. Rozległ się huk, upadła... Lecz wtedy ten człowiek, dotąd jej pokorna ofiara, jak gdyby się przeistoczył: straciwszy pamięć z wściekłości i bólu (ponieważ kwas siarczany strasznie go poparzył), rzucił się na swoją tyrankę i dał jeszcze pięć wystrzałów.

Oboje zostali przeniesieni do najbliższej apteki. Leontyna wkrótce umarła, a jej ostatnie słowa przed śmiercią były następujące:

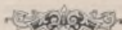
— Umieram... lecz jestem szczęśliwa... On nazawsze oszpecony... Prawda?.. Oto, czego chciałam!..

A jednak, na szczęście, skończyło się stosunkowo dobrze: Janowi pozostało zaledwie parę blizn na szyi i głowie.

Postawiony po niejakim czasie przed sądem za zabójstwo, został przez przysięgłych jednogłośnie uniewinniony. Przeciwko temu wyrokowi z początku protestowano, ze względu, że Jan, pomimo wszystkich cierpień, nie miał prawa sam wymierzać sobie sprawiedliwości i do tego w taki straszny sposób. Wybaczono mu pierwszy wystrzał, dany pod wpływem bólu i rozdrażnienia, lecz wściekłość, z jaką dobijał swą dręczycielkę, uważano za dużą winę, mówiąc, że zabijać kobietę, która „troszkę oblała“ kwasem siarczanym, jest więcej niż okrucieństwem itd.

Co się tyczy mnie osobiście, nie podzielam tego poglądu: czytelnicy już znają moje zapatrywanie na zbrodniarki, uciekające się do witryolejų; powtórzę raz jeszcze, że uważam je za bardziej winne, niż „zabójców.

Proces męczennika Jana doprowadził jednego z sędziów do wniosku, że w końcu jedynym środkiem przeciwko takim kobietom jest ślub, ponieważ potem formalny rozwód daje możność spokojnie uwolnić się od takiej pijawki. Straszna omyłka! Typ takich kobiet zawsze jednakowy, tak samo w małżeństwie, jak i we wspólnem pożyciu: one nawet nie pomyślą o rozwodzie, dzięki któremu straciłyby prawo i możność wyniszczania i eksploatowania swoich ofiar. A przecież to ich główny cel.



zamiany płacy w naturze na pieniężną tak, iż na całej linii przestarzała forma zarobku ustępuje wynagrodzeniu gotówką, zgodniejszemu z rozwojem gospodarczym i z duchem czasu. Płaca pieniężna dawała zatrudnionym większą rękojmię niezależności, a przedsiebiorcom większą swobodę dyspozycyi oraz możność lepszego wyzyskania cen rynkowych. Nie wypływa z tego bynajmniej, aby wszędzie i zawsze zamiana ta była korzystną dla stron obu. W odległych zakątkach, o słabym ruchu handlowym, płaca naturalna odpowiada w rolnictwie interesom zarówno przedsiebiorców, jak podwładnych. Oprócz tego nie ulega dziś najmniejszej wątpliwości, iż z zapanowaniem zapłaty pieniężnej nastąpiło gwałtowne obniżenie zarobku w rolnictwie wogóle. Przy wynagrodzeniu naturalnem przyjmuje się za normę istotne potrzeby człowieka, określone przytem przez tradycyę. Z powstaniem nowych porządków głodomór, żywiący się kartoflami, stał się w rolnictwie typem powszednim. W przemyśle przeciwnie wypłata w formie naturalnej stała się płaszczykiem legalnym dla najwstrętniejszej formy wyzysku, nazwanej systemem „truckowym.“ Najdziwaczniejsze i najokropniejsze rozmiary, jakkolwiek tylko w postaci analogicznej, przyjęła praktyka ta w przemyśle domowym, gdzie gnieździła się już od kilkuset lat. Rządy wszystkich krajów walczą energicznie przeciwko nadużyciom takim, ale naprożno usiłują wyplenić je do szczętu, ponieważ pozostały jeszcze odmiany legalne, nieodłączne wprost od trybu tej lub innej gałęzi produkcyi.

Większe znaczenie praktyczne przedstawia sposób mierzenia wysokości zarobku. Pierwotnie określano rozmiary płacy zależnie od czasu trwania roboty. Odróżniano płace roczne, miesięczne, tygodniowe, dzienne, godzinne. Oczywiście, uwzględniano stanowisko robotnika w mechanizmie zakładu, oraz jego wykształcenie fachowe, W ten sposób powstała skala stopniowań, która jednak była dla obu stron przejrzystą i wskutek tego nie dawała powodów do nieporozumień. Ta forma obliczania zarobku znikała jednak w miarę rozwoju kultury, tak iż dziś jest bardziej rozpowszechniona w rolnictwie, niż przemyśle i częstszą na Wschodzie, niż na Zachodzie. Stopniowo wyrugowała ją tu praca akordowa.

Początkowo stosowano tę ostatnią tam, gdzie nadzór nad pracownikami był wykluczony, a więc w górnictwie i w przemyśle domowym. W obu wypadkach mierzono rezultat pracy w jednostkach materyi towarowej, przeważnie w sztukach wykonanego przez pracownika towaru. Stopniowo ta właśnie forma obrachunku wzięła górę nad płacą od czasu. W Anglii obecnie $^9/_{10}$ pracujących pobiera zarobek akordowy, w innych krajach forma ta zapanowała w ostatnich kilku dziesiątkach lat. Przeniknęła nawet do rolnictwa, gdzie pewne roboty polne są wynagradzane, odpowiednio do obrobionego obszaru. Zarobek akordowy uzbroił przeciwko sobie ogół pracujący i literaturę ekonomiczną, i dopiero w ostatnich czasach usiłowano go tu i owdzie zrehabilitować. Zarzucają mu głównie, iż umożliwiając wzrost zarobku przy zwiększeniu pośpiechu wywołuje przepracowanie się wyrobników. Wskutek pośpiechu zaś wyrób traci na dobroci. Z tego względu system ten nie nadaje się zupełnie do towarów, wymagających roboty starannej. Dalej nastręcza on często olbrzymie trudności. Każda pojedyncza robota ulega oszacowaniu od sztuki, tak iż np. pospolity zakład szewcki musi stosować taryfę, obejmującą kilka tuzinów pozycyj, a większe fabryki -- układać skalę z kilkuset lub nawet kilku tysięcy rubryk, przytem w stosunku możliwie sprawiedliwym. Nadto wskutek ciągłych zmian taryfy, wychodzących jedynie na dobro zakładowi, zarobek akordowy daje wciąż powody do nieporozumień. Jeśli do tego dodamy, że często zarobek akordowy miał charakter zbiorowy, wskutek czego lwia część spływała do kieszeni majstra, stojącego na czele grupy, to łatwo zrozumieć, iż forma zarobku, o której mowa, nie mogła sobie żadną miarą zjednać popularności. Akordowi zarzucają oprócz tego, iż przyczynia się on do przedłużenia czasu pracy, pomnaża szeregi wyrobników, pozbawionych zajęcia, obdarza zdolniejszych niesprawiedliwymi przywilejami na niekorzyść pozostałych towarzyszów pracy itd.

Pomimo to, jak mniema Schmoller, niezadowolenie, skierowane przeciwko zarobkowi akordowemu, w ostatnich czasach zmalało. Podług znanej pary autorskiej małżonków Webb, z miliona osób, należących do angielskich *trades unionów*, 573 tysiące jest stanowczo za płacą od sztuki, 140 tys. sympatyzuje z systemem mieszanym, a tylko 200 tys. woli zarobek od czasu. Anglia wogóle nie rozwiązuje sprawy tej zasadniczo, wychodząc z założenia, że każda forma zarobkowa ma zalety, dla których należy oddawać jej pierwszeństwo w pewnych warunkach. Przedewszystkiem chodzi o to, aby sfery zainteresowane posiadały pewność, że zarobek całkowity nie spadnie poniżej stopy określonej, że wyklucza samowolę i umożliwia porozumienie się obu stron. Różnica pomiędzy obydwiema formami zaciera się tam, gdzie płaci się np. od godziny, ale pod warunkiem, że w ciągu tego czasu zostanie wykonaną praca, zawarta w pewnej ilości sztuk. Tej właśnie mieszanej formie Schmoller oddaje pierwszeństwo ze względu na to, że z jednej strony zabezpiecza daną stopę ogólnego zarobku, z drugiej zaś wyznacza premię za dodatkowe natężenie i gorliwość.

Premie dodatkowe, stosowane z rozmaitych powodów, zjednały sobie szczególny poklask w Ameryce. Pewną odmianę tego systemu stanowi uczestnictwo wyrobników w zysku. Niegdyś oczekiwano od powszechnego wprowadzenia tego systemu nastania złotego wieku dla ludzkości. Dziś przekonano się o jego względnej możliwości i słuszności. We Francyi, Anglii i Ameryce istnieje kilkaset zakładów, opartych na zasadzie uczestnictwa wyrobników w zyskach. Ta forma organizacyi wychodzi prawie zawsze na korzyść zakładom przemysłowym, zwłaszcza gdy idzie o wyrób towarów delikatnych lub sztukę stosowaną do przemysłu. Tu nadzieja udziału w zwiększonych zyskach zagrzewa do zdwojenia staranności, ta znowu odbija się na dobroci wyrobu. Przy wytwarzaniu artykułów masowych, gdzie wielką rolę odgrywają zalety osobiste kierownika zakładu, staranność pracowników nie zawsze jest odpowiednio wynagradzaną przy powyższej zasadzie. W każdym razie wielkich nadziei, z któremi łączono system udziału w zyskach, dziś już nikt nie podziela.

H. Przedm.



Idee kosmiczne.

Co to jest świat? Co to jest byt? Co to jest dusza? Czas? Przestrzeń?

Na te pytania posiadamy różne odpowiedzi. Pytano teologów, filozofów, przyrodników. Teraz zaczynają z kolei odpowiadać socyologowie. Oni właściwie nie odpowiadają, tylko przytaczają odpowiedzi innych. Ale nie mniemajcie, iż po te odpowiedzi udają się do współczesnych Salomonów. Mądrzy mówili dość długo i będą jeszcze mówić dość długo. Teraz kolej na głupich, albo raczej maluczkich. Ciemności, objaw nam swoje tajemnice!

Razu jednego zwróciliśmy się do pewnej praczki warszawskiej z zapytaniem, co wyobraża sobie pod wyrazem świat i pod wyrazem życie. Usłyszeliśmy odpowiedź następującą:

— Świat jest to ciemna izba z parującą balią w pośrodku. A życie jest ciągłem praniem zbrudzonej bielizny.

Na to samo odpowiedział nam pewien agent ubezpieczeń w ten sposób:

— Świat jest to wielka klientela, która dąży do tego, aby przy najmniejszych stawkach ubezpieczeniowych otrzymać jak największe odszkodowania. A życie jest ciągłą walką z tą klientelą.

Pewien pan w bobrach i niepokalanej czystości cylindrze odpowiedział nam jeszcze inaczej:

— Świat jest to przestrzeń, zamknięta ulicą Marszałkowską i Krakowskiem Przedmieściem. A życie jest przechadzką w piękny dzień słoneczny po tych ulicach.

Z temi odpowiedziami „ciemnego tłumu“ udaliśmy się do filozofa i przyrodnika, aczkolwiek dziś wszystko istnieje „dla siebie,“ więc filozofia dla filozofii i przyrodnictwo dla przyrodnictwa. Wszyscy ogromnie posmutnieli. Orzekli, iż nie spodziewali się, aby ludzkość była jeszcze tak ciemna. Filozof radził, aby jak najprędzej wydać w doskonałym przekładzie wszystkie dzieła Schopenhauera, nie wyłączając, broń Boże, listów; przyrodnik zaś radził, aby urządzić szereg wypraw balonowych dla ostatecznego stwierdzenia, czy chmury pierzaste składają się z igiełek lodowych, czy też, jak to obaczył na wysokości 10,000 metrów Artur Berson, z gwiazdek śnieżnych.

Z temi odpowiedziami „der obersten Zehntausend“ udaliśmy się znowu do praczki, agenta ubezpieczeń i pana w bobrach. Praczka odpowiedziała, że Schopenhauer nic ją nie obchodzi, bo nieboszczycy nie przysyłają bielizny do prania, a zamiast szukania, licho wie czego, na takiej wyżawie, jak 10,000 metrów, byłoby lepiej wynaleźć taki chlorek, któryby usuwał brud, a dziur nie robił.

Agent ubezpieczeń odpowiedział, że do kościoła nie chodzi, bo biuro zamykają w niedzielę dopiero o godzinie drugiej, że zamiast wydania dzieł Schopenhauera wolałby, aby wydano jaki porządny przewodnik po kraju, a zamiast wydawania pieniędzy na karkołomne badania, lepiej byłoby młodych a „zdolnych“ ludzi wykupywać z wojska, bo właśnie został powołany na pięć lat, i dyabli biorą posadę.

Jeden tylko pan w bobrach nie dał odpowiedzi gorzkiej, ale prawił z humorem:

— Dobrze, dobrze, kochany panie! Pomysł wydania przekładu Schopenhauera bardzo dobry. Moja córka powiada, że to był genialny filozof. Co zaś do wypraw balonowych, to wybierajcie się choćby na wysokość 20,000 metrów. Bajecznie lubię czytać rubrykę sensacyjnych wypadków.

Z praczką i agentem można się nie sprzeczać; ale pana w bobrach i niepokalanym cylindrze niepodobna puścić z ręki. Rzekliśmy tedy do niego:

— Obywatelu! Jesteś nieuleczalnym humorystą. Ciemny jest twój garnitur, ale nie umysł. Zali czujesz się szczęśliwym w kraju, w którym praczka i agent ubezpieczeń posiadają inteligencyę konia albo pieska pokojowego?

Wtedy pan w bobrach spoważniał i odrzekł, co następuje:

— Kochany Panie!

(Pan w bobrach każdego „kocha.“)

— Kochany panie! Dotąd istotnie żartowałem, ale teraz odpowiem ci szczerze, co myślę, bo mnie rozgniewałeś. Filozof mówił dobrze, przyrodnik mówił dobrze. A przedewszystkiem nie sądź,

aby praczka dała ci odpowiedź złą. Dla niej świat powinien być ciemną izbą z parującą balią w pośrodku, życie zaś ustawicznem praniem zabrudzonej bielizny. Agent także ci doskonale odpowiedział. Dla niego świat powinien być wielką klientelą, którą trzeba ciągle zdobywać. Bo dopiero wtedy, gdy ludzie ci będą całkowicie pochłonięci podobnemi myślami, dopiero wtedy, powtarzam, dla mnie świat będzie mógł być przestrzenią, zamkniętą ulicą Marszałkowską i Krakowskiem Przedmieściem, a życie miłą przechadzką po tych ulicach.....

— Czy obywatel mniema, że tak mówią wszyscy?

— Nie, tego bynajmniej nie mniemam. To ja tylko powiedziałem, bo mi się wyrwało, żeś mnie zirytował. Ale wszyscy w cylindrach i bobrach na pewno tak myślą i tak postępują...

Andrzej Niemojewski.

PAMIĘTNIK

Wyścigi reporterskie.

Dusze reporterskie należą niewątpliwie do najoryginalniejszych tworów, jakie wyszły z łona natury. Pozornie bowiem podobne do innych ludzkich, nie podlegają żadnym ludzkim wzruszeniom, prócz tym, jakich doznają konie wyścigowe, dla których jest zupełnie obojętnem, czy niosą Darwina, czy chłopca stajennego, a chodzi im tylko o to, ażeby najpierw przybiedz do mety. Każdy człowiek, widząc wybuch wulkanu, zabijającego kilka tysięcy ludzi, zapomniałby o wszystkiem i osłupiał w przerażeniu; reporter nie odczułby nieszczęścia, tylko gwałtowną potrzebę natychmiastowego przesłania do dziennika wiadomości o wypadku. My nie mamy w tym gatunku wielkich kotów, lwów reporteryi, czatujących na zdobycz w dżunglach polityki, posiadamy jedynie małe kociaki, włóczące się po dachach domów i piwnicach dla schwytania ptaków i myszy. Ale te kociaki objawiają czasem lwie pretensye. Gdy przybyła do Warszawy wieść o chorobie i odłożeniu koronacyi króla angielskiego, naturalnie dusze reporterskie nie zastanawiały się nad ważnością i tragizmem samego faktu, lecz nad tem, która gazeta go naprzód ogłosiła. Zaczęło się więc między współzawodnikami mruczenie i lekkie drapanie, które na szczęście nie wybuchło dotąd w gwałtowną walkę. I bodajby nie wybuchło. Bo gdyby zaszła konieczność zbadania i rozstrzygnięcia sporu, okazałoby się, że prasa nasza niepotrzebnie robi zabawną minę „czerpiącej bezpośrednio u źródła“ nowiny polityczne i że z dzienników warszawskich najpierwsze doniosły o dokonanej u króla angielskiego operacyi dwa: *Local Anzeiger* i *Kölnische Zeitung*. Za nimi dopiero poszły inne.

Nasze zwycięztwo.

Wyścig samochodów między Paryżem a Wiedniem okrył sławą — nas. Pierwszy bowiem do Prateru przyjechał hr. Zborowski*). Ile w telegramie, donoszącym o tem zwycięztwie, mieściło się dla nas słusznej dumy i głębokiej radości! Bo nie dosyć, że paruset współzawodników prześcignął polski hrabia (chociaż — jak twierdzą jego biografowie — mocno zanglizowany), nie dosyć że przybył „w doskonałej kondycyi,“ ale nadto — co nas poprostu olśniewa — wysiadł „w nieposzlakowanej toalecie salonowej, nieprzepocony.“ Była to jedna z tych chwil, w których przestajemy pragnąć. Los jest zwykle zły, ale czasem bywa dziwnie wspaniałomyślny. Śród wielkich smutków zsyła on ludziom takie wesele, że muszą przyznać: jednakże życie jest piękne!

Nie wątpimy, że ktoś w Wiedniu będzie w naszem imieniu „interwiewował“ zwycięzcę. Trzeba się przecież od niego dowiedzieć, co myśli o nowej gwieździe w konstelacyi Perseusza, o pokoju anglo-boerskim, o Filharmonii warszawskiej, o *Quo vadis*, Przybyszewskim, nowym kierunku w malarstwie i komisyi kolonizacyjnej.

*) Nie przyznano mu jednak nagrody z jakiegoś powodu formalnego. *Red.*

Zagadka.

Dotąd czekaliśmy rozwiązania zagadki: jaką ważność miała wizyta ks. F. Radziwiłła z Berlina w jednym z warszawskich przytułków dobroczynnych, że nietylko szczegółowo opisano ją w gazetach, ale nawet wyilustrowano w tygodnikach obrazkowych? I czekaliśmy daremnie. Niema rady, trzeba odpowiedzi na to pytanie poszukać w naszym lamusie społecznym, gdzie są złożone rozmaite graty przesądów, przeżytki kultury i bałwochwalstwo zagrodników, równych wojewodom, dla tych wojewodów. Tam znajdziemy stary, zardzewiały klucz, który otwiera wiele innych zagadek. Szaraczek okazuje butę wielką, do ludu się umizga, na wielkich panów ciągle się skarży, ale gdy taki pan raczy przestąpić jego próg, zaraz głowa dumnego gospodarza schyla się do ziemi i „nóżki całuje.“ Mieszczuchy czynią to samo. Nasz cyklista łatwiej pojmie możliwość jeżdżenia na rowerze po łuku tęczy, nasz wioślarz prędzej zrozumie pływanie na „pół-bąku“ po jeziorach księżyca, niż to, ażeby prezesem jego towarzystwa nie był hrabia. A że tam swymi czcicielami bogowie gardzą — nic nie szkodzi. Jest to przywilej bogów.

Oto dlaczego odwiedziny ks. F. Radziwiłła w przytułku zrównaliśmy w ważności z przelotem olbrzymiego meteoru.

Dziwna drażliwość.

Pewien subjekt felczerski skarżył się w *Kur. Warsz.* na napiwki: „Te szóstaki lub dziesiątki, wciskane nam do ręki przez gości hojniejszych, sprawiają nam wszystkim ogromną przykrość, powiem więcej — uwłaczają wprost naszej godności.“

Słusznie, bardzo słusznie! Każdy datek, rzucony w formie łaski, musi mieć cechę ubliżającą. Zdawałoby się jednak, że po tak pięknym wstępie autor notatki poprosi w konkluzyi publiczność o wstrzymanie się od napiwków, przez co właściciele będą musieli podnieść stałą pensyę pracującym. Doznajemy jednak zawodu. Pan subjekt twierdzi w dalszym ciągu, że im wszystkim sprawi wielką przyjemność postawienie w razurze puszki, gdzie goście mają wrzucać co łaska, a jej zawartością będą się pracujący dzielili, jak to bywa np. w Paryżu.

Dziwny rodzaj honoru i drażliwości.

Brać napiwek do ręki jest obelgą, lecz dziękować za dziesiątkę, wpadającą z brzękiem do puszki (wieleż ich tam wpadnie fałszywych!), jest zgodne z pojęciami o miłości własnej subjekta fryzyerskiego. Czy jego koledzy podzielą ten pogląd, tego nie wiem, w każdym razie zdaje się go podzielać *Kuryer Warsz.*, bo żadnym komentarzem od siebie notatki tej nie opatrzył.

Nam by się jednak zdawało, że wszelkie „napiwki“ są obrażającą formą wynagrodzenia za pracę. Fryzyer, kelner w restauracyi, stróż itp., powinni odmawiać napiwków, żądając natomiast lepszego wynagrodzenia stałego. Praca ich jest niezbędną i nieoddzielną od zjedzenia obiadu lub ostrzyżenia włosów, powinna więc być włączona w ogólną cenę zapłaty.

Ale dopóki istnieć będą jedni, którzy znajdują przyjemność w mówieniu kelnerowi impertynencyi i rzucaniu następnie ze wzgardą sutego napiwku i drudzy, którzy będą gięli karki przed takim rodzajem wynagrodzenia za pracę, póty o zmianie poważniejszej nie może nawet być mowy. — Nawet dyski stróżowskie powinny się zamienić w obowiązkową opłatę, będącą podatkiem bezpośrednim za budzenie stróża po nocy, jak to urządzone jest w Wiedniu. Ale czy napiwek wpada wprost do ręki, czy przechodzi przedtem przez puszkę blaszaną, to już jest rzeczą obojętną. *K—a.*

Korespondenci zagraniczni.

Pojechał sobie do Paryża kierownik pewnej instytucyi artystycznej, aby zaprosić do nas na występy różnych wybitniejszych wirtuozów. Wiemy, ile grosza wywożą z Warszawy cudzoziemskie słowiki i pianiści, cóż więc dziwnego, że ci, którzy go wywozili roku zeszłego lub pragną wywieść w roku przyszłym, zaprosili „kochanego dyrektora“ do jakiegoś paryskiego „Stępka?“ Dotąd wszystko w porządku. Ale reporterzy naszych pism brukowych nie omieszkali naturalnie wydąć tego drobnego fakciku do rozmiarów zdarzenia epokowego i bredzą o nim, jako o dowodzie szacunku i sławy, którą sztuka nasza zaczyna promieniować na „cały Paryż“ i Paryżan.

Gdybyż to był wypadek oderwany. Ale większość korespondencyj trzęsie się od takiej płaskiej reklamy, tylko że czasem zręczniej podanej. Wieluż to wszelkiego rodzaju artystów pragnie tą drogą oddziaływać na opinię Warszawy *via* Paryż.

Wiemy, że w Warszawie na każdy koncert składy fortepianów wypożyczają bezpłatnie wyborny instrument. Takie potężne firmy paryskie, jak Erarda lub Pleyela i Wolffa, do fortepianu dodają również bezpłatnie salę koncertową, służbę, światło i nawet orkiestrę. Jest to także reklama, tylko na większą skalę. Artysta więc, mając wszystko darmo, rozdaje również darmo wszystkie lub prawie wszystkie bilety, rad, że zechcą go posłuchać i że dzienniki krajowe wydrukują sążniste artykuły o niesłychanem powodzeniu nowej gwiazdy, grającej w Paryżu przy wypełnionej po brzegi sali. Paryż artystyczny naturalnie nic o tem nie wie, gdyż te kilka sal codzień dają podobne koncerty gwiazd wszelkiej narodowości i wszelkiej barwy skóry. Wyjątkowo tylko jaka rzeczywiście pierwszorzędna siła potrafi przyciągnąć publiczność i zapełnić salę płatnymi słuchaczami. Nic więc dziwnego, jeśli taki artysta, który miał „szalone“ powodzenie w Paryżu, u nas wywoła tylko — zdziwienie.

Rodacy nasi, mieszkający w wielkich stolicach europejskich, przyzwyczajeni są już do tego, że dopiero z naszych gazet dowiadują się o tak nadzwyczajnych sukcesach, jakie miały elektryzować *cały* Paryż, *cały* Londyn lub *cały* Berlin z powodu jakiegoś polskiego koncertu, polskiej panoramy lub przekładu jakiejś książki.

Kółka polskie są zwykle tak nieliczne w stolicach, że niemal wszyscy się znają i albo wzajemnie usiłują utopić się w łyżce wody, albo wiążą się w bractwa wzajemnej adoracyi. Stąd pochodzą te nadzwyczajne krańcowości: albo zjadliwe wzmianki, albo okrzyki zachwytu, który w wyobraźni reportera ma ogarniać całe miasto. A w rzeczywistości prasa cudzoziemska prawie nic o nas nie wie i nami się nie interesuje, a jeśli zaczną ją zmuszać do napisania kilkunastowierszowej wzmianki, to zjawia się coś w rodzaju owego sławnego artykułu z *Le Petit Bleu* o wystawie obrazów polskich w Paryżu, gdzie patetycznie zapewniano, że malarstwo polskie musi być wielkie, skoro ma takich potężnych przedstawicieli, jak Mickiewicz, Słowacki, Moniuszko, Reszke i inni... *K—a.*

Rzeźnie warszawskie.

Pod takim tytułem *Gazeta Polska* ogłosiła świeżo dwa artykuły, podcyfrowane ini-

ciałami Dr. Kł., a potwórzone w znacznej części przez feljetonistę *Kuryera Warszawskiego* w ostatnich „Listach z Krakowskiego Przedmieścia." Fejletonista, wierny zasadzie kuryerkowej, która w opisie spustoszeń, dokonanych przez burzę, każe się wznosić do śmiesznego, bo nieszczerego patosu, a od kroniki tygodniowej wymaga za wszelką cenę dowcipu, podlał swe uwagi sosem właściwego sobie „humorku," mogącym łatwo wzbudzić obrzydzenie nawet wśród najmniej wybrednych spożywców drukowanego słowa.

Ale naprawdę spostrzeżenia dr. Kł. stanowią niezbyt odpowiedni materyał do wyrobu tanich dowcipów i nie nadają się zgoła do humorostyki kronikarskiej. Są w nich szczegóły, od których wprost zimno się robi i które będą kiedyś wymownem świadectwem barbarzyństwa naszego (to np. mordowanie wołów w oczach ich natłoczonych towarzyszów, oczekujących swej smutnej kolei w brudnej i ciasnej rzeźni); są inne, które nasunąć mogłyby pedagogowi lub socyologowi niejedną smutną refleksyę, że przypomnimy chociażby używanie młodych chłopców po posług przy głuszącem szlachetniejsze instynkty zajęciu rzeźnickiem. Ciasnota, brud, niechlujstwo, podniesione do najwyższej potęgi, oto zwrotka, powtarzająca się wciąż w budzącym chwilami zgrozę opisie dr. Kł., a stanie się ona zrozumiałą zupełnie, gdy sobie uprzytomnimy, że jedna z rzeźni warszawskich zbudowana została podobno jeszcze w XVI wieku (ciekawy, istotnie, zabytek archeologiczny!), a inne przed stu lub co najmniej pięćdziesięciu laty.

I to wszystko utrzymało się w mieście, mającem dziś blizko 800,000 mieszkańców i niejakie pretensye do kulturalności. Słusznie zupełnie mówi autor artykułu, że warto by doprawdy, aby pisma nasze, które tak skwapliwie informują swoich czytelników o wszystkiem, co się dzieje w teatrach, na koncertach, balach itd., posyłały też od czasu do czasu swoich sprawozdawców do takich zakładów, jak rzeźnie. „Możnaby tam znaleść sporo ciekawego materyału do zapełnienia szpalt, a jednocześnie zainteresowanie się ogółu takiemi sprawami wpłynęłoby na zarząd miejski, aby szybciej załatwiał potrzeby miasta." Sądzimy, że w sprawie rzeźni powinnyby również mieć coś do powiedzenia i takie ciała zbiorowe, jak towarzystwo hygieniczne i towarzystwo opieki nad zwierzętami.

Lecz z drugiej strony niektóre sprawy naszego miasta (tramwaje i oświetlenie elektryczne, dworzec centralny, rzeźnia główna, odpowiadająca współczesnym wymaganiom porządku, hygieny i — ludzkości) po to jedynie zdają się wracać od czasu do czasu na szpalty pism, aby ułatwić reporterom zarobienie pewnej ilości kopiejek od wiersza. Zbliżanie się tych obietnic i zapowiedzi do jakiegoś urzeczywistnienia i rozwiązania w duchu pożądanym przypomina pochód owej figury pod górą Świętokrzyską, która co sto lat ma się posuwać o jedno ziarnko makowe, a gdy wreszcie dotrze do szczytu góry, to nastąpi niechybnie — koniec świata... *sm.*



Badania nad klimatem Marsa.

Astronom amerykański Lowell od szeregu lat poświęcił się specyalnie badaniom powierzchni Marsa, najbliższego sąsiada ziemi i, dzięki tym wytrwałym obserwacyom, dowiedzieliśmy się kilku nowych szczegółów o tej interesującej planecie. Lowell rozporządza dużemi środkami pieniężnemi, które mu pozwoliły zaopatrzyć się w lunetę astronomiczną o średnicy 2 stóp i długości ogniskowej 30 stóp. Ładne to narzędzie umieszczono w stanie Arizona na wzniesieniu 2200 metrów nad poziom morza, we Flagstaf, gdzie powietrze jest wyjątkowo spokojne i przezroczyste. Przez pewien czas dostrzegalnia znajdowała się także w Meksyku, w Tacubaya, wzniesiona na 2300 m.

Obserwując Marsa podczas ostatniej opozycyi tej planety w latach 1894 i 1895, Lowell, na zasadzie zdobytych spostrzeżeń, orzekł, że najbliższy nasz sąsiad niebieski jest zamieszkany przez istoty rozumne, nieustępujące pod względem rozwojowym mieszkańcom ziemi. Uczony astronom amerykański wydał o Marsie duże dzieło, w którem ciekawi szczegółów mogą się z niemi bliżej zaznajomić.

W latach 1896 i 1897 Lowell prowadził dalej spostrzeżenia wespół z innym astronomem, Duglasem. Tym razem zajmował się szczególnie badaniem stosunków klimatycznych na Marsie i zmianami, jakie dają się dostrzegać na planecie, w zależności od pór roku. Wyniki tych badań zawarł on w drugiem dziele, które ukazało się niedawno.

Spostrzeżenia rozpoczęto w połowie lipca 1896 roku, kiedy południowy biegun Marsa jest zwrócony ku ziemi. W ciągu lata, aż do jesieni, biegun ten odwracał się coraz bardziej, a od września do grudnia oba bieguny planety były widzialne na przeciwległych skrajach tarczy.

Od tej chwili biegun południowy zaczął się znowu zwracać ku ziemi, a w r. 1897 zwracał się także ku niej i biegun północny. Co się tyczy pór roku, to na północnej półkuli Marsa zima rozpoczęła się 17 lipca 1896 r., co odpowiada 22 grudniowi u nas; 24 grudnia zaś zaczęła się tam wiosna. Data ta odpowiadała więc 21 marca na półkuli północnej ziemi. 12 lipca 1897 roku rozpoczęło się lato, o 9 dni wcześniej, niż u nas. Pragnąc rozejrzeć się w związku między zjawiskami, spostrzeganemi na powierzchni Marsa, a tamtejszemi porami roku, należy sobie zapamiętać powyższe daty. Już od 20 lat wiadomo, że na obu biegunach Marsa, w ciągu tamtejszych zim, zjawiają się białe, świecące plamy, zmniejszające się w porach letnich. Jeszcze Herschel wywnioskował, że owe białe plamy są lodami i śniegami podbiegunowymi, a późniejsze spostrzeżenia potwierdziły ten domysł.

Między 23 lipca a 29 stycznia, to znaczy w okresie czasu, odpowiadającym porze letniej na biegunie południowym Marsa, Lowell zauważył, że plama biała jest najmniejsza. Następnie jednak, w miarę przemijania lata, plama owa zaczęła się powiększać. Jednocześnie, na północnej półkuli zaczęła się ukazywać także biała plama, ponieważ jednak sam biegun był niewidzialny, przeto Lowell wywnioskował, że śniegi musiały na półkuli północnej sięgać bardzo daleko na południe i zajmować obszar, odpowiadający 50—60 stopniom południka.

Skraj tego obszaru wydawał się biały, albo jasno niebieski, w niektórych okolicach blado zielony, miejscami zaś otoczony matowym, ciemnym, zielonawym szlaczkiem. Taki wygląd miał on zwłaszcza w porze, odpowiadającej naszemu styczniowi. W ciągu tamtejszego lutego opona śnieżna rozciągała się aż do 50 lub 60 stopnia szerokości północnej i przedstawiała niewyraźne granice. Niebieskawe i zielonawe odcienie znikały, a natomiast ukazały się ciemne obwódki. W marcu marsowym śnieżny obszar miał granice ostro zakreślone, a na jego skraju powstały barwy takie, jak gdyby na uwolnionych od śniegu przestrzeniach zjawiała się zielona roślinność. W samej powłoce śnieżnej potworzyły się duże, czarne szczeliny. Gdy na północnej półkuli słońce wznosiło się coraz wyżej, biała plama sprawiała wrażenie powłoki śnieżnej, topniejącej na skrajach, szczeliny ciemne rozszerzały się, i plama zmniejszała się wyraźnie, jednakże sięgała ona jeszcze do 60 stopnia północnej szerokości i rozciągała się najdalej w kierunku ciemnego obszaru, znanego na mapach Schiaparellego pod nazwą Syrte, a będącego prawdopodobnie najobszerniejszym zbiornikiem wodnym na Marsie.

W ciągu maja i czerwca marsowego plama na biegunie północnym zmniejszała się coraz bardziej, i wydawało się, że ją otacza ze wszystkich stron ciemny obszar wód, powstałych z topniejących śniegów. Równocześnie zjawiło się mnóstwo kanałów, z pomiędzy których wiele wychodziło jakby z ciemnych smug czy szczelin w śnieżnej skorupie.

Porównanie obu półkul Marsa w ciągu roku tamtejszego jest szczególnie ciekawe dla badacza klimatu tej planety. Południowy obszar śnieżny topnieje zupełnie w drugiej połowie swojego lata i ukazuje się wyraźniej dopiero w miesiącu kwietniu (marsowym). Północny obszar natomiast ukazuje się dopiero w połowie swojej zimy i zmienia się odtąd bardzo mało. To każe przypuszczać, że na jesieni marsowej ilość wilgoci na północnej półkuli jest nieznaczna w porównaniu z wilgocią u bieguna południowego, co się zresztą daje wywnioskować z tego faktu, że na północnej półkuli jest daleko więcej lądu, niż na południowej. Kiedy jednak ta lądowa półkula jest ku nam zwrócona, równik cieplikowy planety leży daleko na południe, wskutek czego musi się wytwarzać potężny strumień wilgotnego powietrza, płynący w północnym kierunku. Z początku ta wilgoć, niesiona z południowej półkuli, osadza się na wyżynach północnych, potem dopiero sięga niższych warst i skrapla się w zbiornikach naturalnych, tworząc zapasy. I ta hipoteza znalazła potwierdzenie w bezpośredniej obserwacyi. Wyżej wzmiankowana Syrta jest, jak się zdaje, głównym zbiornikiem wód na półkuli północnej; na południowej zaś Lowell znalazł dwa takie zbiorniki. Co się tyczy osławionych „kanałów," to ukazują się one wyraźniej na półkuli północnej. Na południu są one znacznie rzadsze i dają się obserwować tylko w zaciemnionych obszarach. Liczba kanałów dostrzegalnych na południowej półkuli, poczynając od 40 stopnia szerokości, maleje od stycznia do kwietnia roku marsowego, a zatem w drugiej połowie tamtejszego lata. W strefie podrównikowej, mianowicie między 30 st. szer. pd. a 10 st. pół., nie spostrzegamy pod tym względem znacznej różnicy. Na północnej półkuli Marsa, pomiędzy 10 st. szer. a 40, wyrazistość kanałów powiększa się cokolwiek w ciemniejszych przestrzeniach, w jasnych zaś — bardzo. Na całym obszarze strefy, położonej pomiędzy 40—60 stop. szer., kanały przedstawiają się wyraźnie, jako ciemne linie.

Okoliczności powyższe pozwalają mniemać, że w istocie „kanały" na Marsie stają się dla nas widzialnemi, dzięki temu, że w pewnych porach roku napełniają się wodą i że ich pobrzeża pokrywają się roślinnością. Wogóle zarówno one, jak i ciemne plamy na półkuli południowej, zmieniają w środku lata (od października do stycznia) zieloną barwę na brunatną i w końcu na żółtą. Jaśniejsze obszary tej półkuli są ciemno - pomarańczowe albo żółtawe; do barw tych w porze topnienia lodów podbiegunowych miesza się trochę zieleni, póżniej w grudniu, cokolwiek barwy brunatnej, w lutym czerwonej i białej w marcu.

To przechodzenie od barwy zielonej do brunatnej i żółtej przypomina zmiany, ja-

kim podlega roślinność ziemska od wiosny ku jesieni. Wielkie ciemne powierzchnie ciepłej południowej strefy wydają się w ciągu całego lata zielono-niebieskiemi, aby ku kwietniowi przejść w kolor żółty. Natomiast tamtejsze wielkie, jasne obszary w styczniu, lutym i marcu przybierają barwę żółtą albo pomarańczową z domieszką czerwonej. Północne, ciemne obszary są zielone albo niebieskawo-zielone w grudniu i styczniu.

Powyżej opisanych znacznych zmian na powierzchni Marsa niepodobna przypisać innej przyczynie, jak tylko porom roku. W początkach lutego 1879 roku Lowell widział, że Mare Sirenum jest całkiem normalne, to samo dotyczyło w dniu 17 lutego Sinusa Aurorae. Z obu tych domniemanych zbiorników wodnych wychodziły liczne kanały we wszystkich kierunkach. W przeciągu 5 tygodni jednak wymieniony ciemny obszar rozjaśnił się zupełnie, w 4 tygodnie zaś znikły i pozostałe. Działo się to w miesiącu kwietniu, podług pory marsowej, a całkowity obszar ciemnych plam, które stały się niewidzialnemi, wynosił 5,000,000 km. kw.

Na skraju tarczy Marsa, na granicy półkuli oświetlonej i ciemnej, niejednokrotnie dostrzegał Lowell jasne spiętrzone wyniosłości, które, według wszelkiego prawdopodobieństwa, były obłokami, oświetlonymi przez promienie zachodzącego słońca. W marsowym miesiącu lutym pomiędzy 20—30 stopniami szerokości połud. widać było wyraźnie olbrzymie zbiorowiska obłoków, ciągnące z południa ku północy. Były one wzniesione na 13—24 km. nad powierzchnię planety i poruszały się z szybkością około 30 km. na godzinę. Pas ciszy, który, jak wiadomo, na ziemi leży między 10 stop. szer. pn. a 10 stop. szer. południowej, na Marsie rozpościera się między 20—30 st. sz. poł. Wolne obszary wód spotykają się na naszym sąsiedzie dość rzadko i są one zwykle odosobnione. Gdyby tworzyły jeden wielki ocean, oblewający znaczną przestrzeń, to słońce przeglądałoby się w jego wypukłej powierzchni i powstałą skutkiem tego grę światła łatwo możnaby dostrzedz przez dalekowidz. Nic podobnego nie spostrzeżono. Lowellowi udało się jednak, przy pomocy polaryskopu, stwierdzić w jednej z zatok na Marsie obecność płynnej powierzchni.

Największa ilość wilgoci zgromadziła się w pobliżu biegunów, zwłaszcza biegun południowy obfituje w wodę. W najgorętszej strefie Marsa, jak tego dowodzą liczne obłoki, musi także nie brakować wilgoci. Najsuchszy klimat posiadają strefy umiarkowane. Obieg płynnego żywiołu dokonywa się na sąsiedniej planecie z jednej strony za pośrednictwem obłoków, z drugiej zaś kanałów. Tutaj, jak i na Marsie, czynnikiem, poruszającym wodę, jest niezawodnie ciepło słoneczne. Mars nie obfituje tak w wyniosłości, jak ziemia, są na nim obszerne równiny, w braku których zaprowadzenie tak obszernej sieci kanałów byłoby niemożliwem. Widzimy więc, że Lowell stanowczo przychyla się do wniosku, że dostrzegane już przez Schiaparellego linie na powierzchni Marsa w samej rzeczy są kanałami, nie zaś, jak twierdzą inni astronomowie, kanionami, wyżłobionemi przez długowiekowe działanie wody, albo też poprostu złudzeniem optycznem. Na sąsiedzie naszym widoczne są też rozległe płaskowzgórza, zwłaszcza w okolicach podbiegunowych, i dość głębokie zaklęśnięcia powierzchni. Na zasadzie własnych spostrzeżeń, Lowell wykonał ładną mapę Marsa, w rzucie Merkatora, na której uwzględniono wszystkie dające się widzieć części jego powierzchni. Na mapie tej pomiędzy 10—30 stop. połd. szerok. figurują pod nazwą mórz ciemne okolice, od których w północnym kierunku biegną sławne kanały, mające postać prostych linii. Przenikają one w głąb lądów stałych i przecinają je we wszystkich kierunkach. Patrząc na te geometrycznie regularne linie, mimowoli dochodzimy do wniosku, że są one dziełem istot rozumnych i rozporządzających potężnymi środkami technicznymi. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że długość tych „kanałów" dosięga tysiąca i więcej kilometrów, szerokość zaś 300 km., to przyznamy, że nasze kanały sueskie i panamskie są w porównaniu z niemi dziełem pigmejów. Jeżeli wraz z Lowellem i Flammarionem uwierzymy w istnienie mieszkańców Marsa, to dojdziemy do wniosku, że Marsyanie pobudowali owe kanały w celu równomierniejszego rozdziału wód na powierzchni planety. Według wszelkich danych, Mars, starszy od ziemi, utracił już znaczną część swej wody, która weszła w chemiczne związki ze skałami i stała się na powierzchni stosunkowo rzadką.

Dla ścisłości musimy dodać, że zdania tego nie podziela większość astronomów. W istocie trudno, na zasadzie tak skromnych jak nasze wiadomości o planecie, sąsiadującej z ziemią, twierdzić stanowczo, że ona jest siedliskiem istot rozumnych. Z drugiej strony jednak byłoby śmiesznem utrzymywać z całą pewnością, że Mars jest niezamieszkany przez jakieś istoty. Dlaczegóżby tak zresztą być miało, skoro Mars posiada wszelkie warunki, niezbędne do powstania na nim życia organicznego? Niepodobna też przewidzieć, czy zagadka o zamieszkalności planet doczeka się kiedykolwiek rozwiązania. *w.*

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

G. d'Annunzio: *Francesca da Rimini*. — Fogazzaro: *Picolo mondo moderno*.

We wszystkiem, co pisze d'Annunzio, jedna rzecz jest zawsze odstręczająca — to osobowość autora. Jest pełen siebie i dlatego nadzwyczaj próżny. We wszystkich swych dziełach zawsze kogoś naśladuje. I na tem jedynie polega jego oryginalność. Nikt nie uległ tylu wpływom różnorodnym. Jest jak mozaika pstra, w której łatwo rozpoznać można wszystkie części składowe i wskazać, co do kogo należy. Nietzsche przedstawia sobie człowieka współczesnego, jako arlekina, który ze strzępków najrozmaitszych uszył sobie szatę, bijącą na efekt, ściągającą uwagę. Takim arlekinem literackim jest d'Annunzio. Przyodziewa się po kolei i jednocześnie we wszystkie modne kolory. Tołstoj, Dostojewski, Bourget, Nietzsche, Wagner, Wilde, Peladan, Ruskin, spotykają się w jego książkach. I dlatego d'Annunzio jest po kolei lub jednocześnie naturalistą, idealistą, pesymistą i optymistą, moralistą i anty-moralistą. Jest wszystkiem, brak mu tylko siebie i szczerości.

Ten dar asymilacyi czynników tak różnorodnych świadczy zresztą niewątpliwie o pewnej plastyczności umysłowej, ale zarazem i o tem, iż autor nie ma poglądu osobistego na życie, ani też znajomości ludzi. Świadczy o pewnej pokorze i bierności, ale w takim razie — skąd ta próżność niesłychana? Tłomaczy się ona głównie szalonem powodzeniem pisarza: jest wybrańcem towarzystwa światowo-kosmopolitycznego, które podbił pięknem i wyszukaniem formy, cynizmem użycia, które jest jedynym jego ideałem, i brakiem skrupułów. Pod względem formy jest to rzeczywiście mistrz niedościgniony.

W nowej swej tragedyi „Francesca da Rimini" d'Annunzio znowu zapożycza treść od Dantego, a wykonanie od Wagnera. Nie jest to, właściwie mówiąc, tragedya, ale raczej dramat liryczny w rodzaju „Tristana i Izoldy," niestety, bez muzyki. Akt pierwszy odbywa się w domu ojca Franciszki, w Rawennie. Służebne, zajęte tualetą Franciszki, bawią się jednocześnie z błaznem, śmieją się i śpiewają. Jest to scena, pełna wdzięku i rozkoszy, stanowiąca jeden z „leitmotywów" dramatu. Po niej następuje „motyw zbrodni." To Ostasio, brat Franciszki, wprowadza w wykonanie chytry swój pomysł wydania jej za ohydnego Jana, drogą podstępu: przedstawia jej, jako narzeczonego, pięknego Pawła, który wie i zgadza się na to oszustwo. I dopiero w Rimini, podczas nocy ślubnej, ona zobaczy prawdziwego swego męża — inaczej wyjść zań by się nie zgodziła. Scena, gdzie Franciszka i Paweł widzą się po raz pierwszy, jest niewymownie piękną. Pozostają nieruchomi naprzeciw siebie, bez jednego słowa lub znaku. Wreszcie Franciszka, wciąż milcząc, zrywa czerwoną różę i ofiarowuje ją Pawłowi. Zasłona spada pośród śpiewu służebnych, sławiących miłość.

W akcie drugim Franciszka, unieszczęśliwiona małżeństwem, w które ją podstępnie wtrącono, błądzi po zamku swego męża, oblężonym właśnie przez Gibelinów. Przybywa do jednej z wież i tam znajduje Pawła, wyrzuca mu jego kłamstwo, daje do zrozumienia, że go kocha i powiada, iż tylko śmiercią będzie mógł zmyć plamę ze swego honoru. Paweł wystawia się na strzały Gibelinów, jedna z nich dotknęła jego głowy tak, iż zemdlony pada w objęcia Franciszki. Strzała ta jednak zlekka go tylko raniła, powstrzymana przez gęste kędziory młodzieńca. Franciszka widzi w tem znak z góry, który tłomaczy sobie w ten sposób, iż plama z honoru Pawła zdjęta została i że nawet miłość ich jest przeto uprawnioną. Jest to pomysł sztuczny, w rodzaju tych, na jakie Wagner w swych sztukach często sobie pozwalał. D'Annunzio ratuje go niesłychanym przepychem fantazyi. Akt ten łączy także zgodnie dwa motywy: miłosny i wojowniczy.

Akt trzeci poprzedzony jest przez intermedyum rozkoszne, gdzie, wobec morza i gór, pary miłosne tańczą i śpiewają, tworząc w ten sposób atmosferę, odpowiednią dla sceny czytania — odtworzonej według Danta — która potem następuje i w której kochankowie po raz pierwszy uświęcają swą miłość pocałunkiem. Tu motyw miłości przeważa, jak w akcie czwartym motyw nienawiści. Młodszy brat Pawła, ślepy na jedno oko Malatestino, ścina głowę więźnia, Gibelina, którego Malatestowie trzymali w swym zamku, i przynosi ją na scenę w zbroczonem krwią prześcieradle. W tym samym akcie wybucha nienawiść bratobójcza pomiędzy Ostasiem a Bauninem, a w duszy Jana, powiadomionego o zdradzie Franciszki, budzi się żądza zemsty. W ten sposób przygotowani jesteśmy do katastrofy aktu piątego, gdzie Jan zabija kochanków.

Autor odtwarza skrupulatnie atmosferę moralną tych czasów barbarzyńskich z ich kultem miłosnym i zarazem z dzikością krwawych rozpraw. Przepych formy dramatu jest godny podziwu, ale d'Annunzio rzeczywiście przesadza, wyobrażając sobie, iż stworzył nim nową epokę w historyi teatru

W ślad za d'Annunziem Fogazzaro także próbował swych sił w teatrze, ale bez powodzenia. Jest to idealista, psycholog, całkiem oddany badaniu stanów wewnętrznych, niezdolny do czynu i przeto pozbawiony daru akcyi dramatycznej. W powieści natomiast można go uważać za inicya-

tora nowego kierunku, o ile wogóle może być mowa o nowych kierunkach w powieści włoskiej, całkiem zależnej w swym rozwoju od francuskiej. Upadek naturalizmu Zoli zadał klęskę veryzmowi Vergi, a z odrodzeniem mistycyzmu we Francyi ukazał się on i we Włoszech, mianowicie dzięki Fogazzarze, i doszedł do szczytu swego rozwoju w ostatniej jego powieści „Piccolo mondo moderno.“

Bohater utworu, Maizoni, ożenił się z kuzynką swą, Elizą Schermini, pod wpływem namiętnej miłości. Eliza okazuje się naturą chorobliwą: małżeństwo podziałało na nią tak fatalnie, iż po upływie kilku miesięcy postradała zmysły. Zamknięto ją w domu zdrowia i biedny Maizoni walczy rozpaczliwie z rozbudzonym swym temperamentem. Wierzenia religijne są dlań mocną podporą w tej walce z pokusami niewinności. Z czasem jednak zwątpienie zakrada się do jego serca, zwłaszcza gdy spotyka inną kobietę, panią Joannę Dessalle, która wyznaje mu miłość. Jest to rozwódka, pozbawiona wszelkich skrupułów religijnych, która powoli swym sceptycyzmem rozkłada wszystkie jego wierzenia.

Gdy w ten sposób dochodzą do przekonania, iż moralnie są obydwoje wolni, i gotowi są połączyć swe losy węzłem miłosnym, z konieczności nieuprawnionym, naraz przybywa do bohatera wezwanie od nieszczęśliwej jego żony. Mówiono w jej obecności o Joannie, chora odzyskała pewną przytomność umysłu i zrozumiała stan, w jakim mąż jej pozostawał. Gdy Maizoni przybywa, Eliza jest blizka śmierci. Wyznaje mu swą miłość gorącą, której nigdy nie umiała wypowiedzieć podczas krótkiego ich pożycia, wybacza mu wszystko i prosi, by powrócił na łono wiary. Scena ta wywiera na Maizonim wrażenie tak wstrząsające, iż ma wizyę, która wskazuje mu, jak powinna postąpić. Rozdaje majątek biedakom, sam zaś szuka przytułku w ukryciu nieznanem. Doktór tłomaczy to wszystko, jako zjawiska obłędu religijnego, ksiądz — jako objaw łaski wyższej. Fogazzaro zdaje się podzielać to ostatnie zdanie. Jest to powieść, pełna smutku i słodyczy, poważna i szlachetna.

Fogazzaro posiada wielki talent i dlatego, pomimo swej bigoteryi, umie pozyskać uwagę czytelnika, zwłaszcza subtelną analizę stanów miłosnych. Ale to właśnie nasuwa wątpliwość, czy ta bigoterya jest zupełnie szczerą. Manzoni powyrzucał ze swych „Narzeczonych“ wszystkie sceny miłosne, uważając słusznie, iż one nie są w zgodzie z duchem religii. Czemu więc Fogazzaro, taki bigot, nie robi podobnej ofiary dla swych przekonań?

Dr. L. Winiarski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

E. Brieux: *Córki pana Dupont*, komedya w 4 aktach, przekład Z. Sarneckiego. — Występy Siemaszkowej na scenie warszawskiej. — Popis szkoły dykcyi i deklamacyi.

Ostatnią nowością teatru Rozmaitości, który przeniósł już na czas lata penaty swe i lary do ogrodu Saskiego, jest czteroaktowa komedya Eugeniusza Brieux p. t. „Córki pana Dupont.“ Ostrze tej gorzkiej satyry społecznej zwrócone jest głównie przeciw fałszowi i obłudzie, panującym wszechwładnie w tej warstwie społecznej, której nadajemy ogólną nazwę „mieszczaństwa,“ chociaż, ze względu na swe zasadnicze rysy duchowe, zaliczyć do niej można wszędzie i znaczną część właścicieli ziemskich, a nawet tak zwanej arystokracyi. Bo ogólne warunki życia współczesnego wytworzyły w pewnych warstwach społecznych rysy wspólne, dla wszystkich w mniejszym lub większym stopniu obowiązujące, bez względu na to, czy mamy do czynienia z właścicielem zakładu przemysłowego lub obdłużonej kamieniczki, czy też z posiadaczem tytułu własności jakiegoś zaszarganego folwarku lub nawet obszernych dóbr rycerskich.

W danym razie zresztą komedyopisarz francuski wprowadza nas w świat mieszczański w ścisłem tego słowa znaczeniu, bo główny bohater sztuki, przebiegły i bezczelny Dupont, reżyser dramatów, które się pod dachem jego domu rozgrywają lub przynajmniej zawiązują, jest tylko właścicielem niewielkiej drukarni na prowincyi, a popełniane przezeń, w stosunku nawet z własnemi córkami, oszustwa i „szwindelki“ sięgają najwyżej trzydziestu tysięcy franków. Lecz to istoty rzeczy nie zmienia.

Stary Dupont (p. Frenkiel) po za drukarnią i jakimś domkiem, zalewanym stale przez wodę, jest jeszcze szczęśliwym właścicielem drugiej żony, w której duszy wystudził od dawna do szczętu porywy idealniejsze, oraz trzech córek. Najstarszą Anielę, z pierwszego małżeństwa, która przed kilkunastu laty, w zaraniu młodości, miała nieszczęście popełnić „błąd“ i była w oczekiwaniu macierzyństwa, wypędził bez miłosierdzia na bruk, wyrzekł się jej zupełnie i patrzał obojętnie, jak się staczała aż na dno kobiecego upadku. O, bo Dupontowie, dla ocalenia honoru nazwiska i stałości przekonań, przed ofiarami z uczuć rodzicielskich nie cofają się nigdy! Drugą córkę zasuszył w domu i skierował na drogę dewocyi, nie chcąc, być może, wypłatą posagu uszczuplać własnego majątku, tem bardziej, że „ta głupia Karolina,“ jak ją najczęściej nazywa, nic go nie kosztuje od dawna, zarabiając na swe utrzymanie malowaniem i szyciem, do czego jednak przyznać się jej wobec obcych nie wolno. Najmłodsza Julia ma żyjącą matkę, i to może uchroniło ją przed losem dwu sióstr przyrodnich, chociaż nie o wiele lepszy zgotowało. Postanowiono wydać ją za mąż, do czego dziewczyna nic okazuje wstrętu, zwłaszcza że w duszy jej rozwinęło się napół uświadomione pragnienie macierzyństwa. Kto ma być tym przyszłym, wyidealizowanym w snach dziewiczych, ojcem upragnionego dziecka, o tem decyduje przedewszystkiem doświadczenie rodziców, interesy ojca, przypadek, co chcecie wreszcie, byle nie wolny wybór uświadomionego uczucia. Julii jest zresztą „wszystko jedno.“ Nie kocha silniej nikogo, a do pośpiechu w wyborze i zgody z wolą ojca skłonić ją może chociażby obawa przed losem, zgotowanym przez życie Karolinie. Następują wyborne w swym realizmie sceny przygotowania do małżeństwa z niejakim Antonim Mairaut, synem bankiera prowincyonalnego, przyczem związek ten dochodzi do skutku jedynie dzięki szeregowi wzajemnych oszustw i podejść, i traktowany jest przez obie strony decydujące, któremi są tu głównie ojciec Julii i matka Antoniego, jako zwykły interes, nic więcej.

Mniejsza o szczegóły, dość że i najmłodsza córka pana Dupont nie znajduje szczęścia w pożyciu z Antonim, chcącym w niej przytłumić lub zabić te nawet resztki człowieka, których nie zdusiło w jej duszy wychowanie rodzicielskie. Młody Mairaut czuje się przytem zawiedzionym, gdyż papa Dupont nie wypłacił połowy obiecanego posagu, więc, na wzmiankę Julii o macierzyństwie odpowiada brutalnie, w pełnej smutnej prawdy scenie aktu trzeciego, że są za biedni na to, aby sobie pozwolić na dzieci... Młoda kobieta buntuje się, chce zerwać narzucone a wstrętne jej teraz pęta, wraca nawet do domu rodziców, ale tu, po szczerej rozmowie z matką i obu siostrami (bo i Anielę przypadek sprowadza chwilowo do miasteczka, gdzie rzecz się rozgrywa), spowiadającemi się przed nią z niedoli życia, decyduje się ostatecznie powrócić pod dach mężowski, by wytworzyć tam jedno jeszcze stadło, jakich wiele, może nawet z udziałem kogoś trzeciego, dla dopełnienia małżeńskiego trójkąta.

Sztuka, której osnowę podaliśmy tu zaledwie w zarysach najogólniejszych, nacechowana jest doskonałą obserwacyą niewesołej rzeczywistości współczesnej, i ma kilka scen wybornych, w których ta podszewka życia, te jego szwy i dziury, ukrywane zazwyczaj starannie pod szatą odświętną, występują wobec widza z całą bezwzględną jaskrawością wypowiadanej w oczy prawdy. Przelękli się tego, naturalnie, nasi uperfumowani panowie od pióra, i nuż zapewniać czytelników, że wszystkie te okropności, które widzimy na scenie, zdarzają się wprawdzie, lecz tylko gdzieś daleko od nas, w ognisku zepsucia, we Francyi, gdy my jesteśmy pod każdym względem uosobieniem cnót i wzorem dobrych obyczajów rodzinnych. Jak gdyby nie bywało i u nas cieszących się szacunkiem ojców rodzin, gotowych poświęcić, dla dogodzenia egoizmowi własnemu, szczęścia lub najżywotniejszych interesów swych dzieci, albo małżeństw, zawieranych jakby na urągowisko wszelkim prawom, zapisanym w sercach przez naturę, nie mówiąc już o takich spotykanych powszechnie drobiazgach, jak fałszywe bilety wizytowe na stole, nuty, z których nikt nie gra, lub książki „od gości,“ których nikt nigdy nie czyta.... Lecz mniejsza o to!

Komedyę Eugeniusza Brieux, może wskutek wyjazdu części artystów „na wczasy letnie,“ widzieliśmy na scenie warszawskiej w niezupełnie dobrej obsadzie. Z trzech córek pana Dupont, tylko p. Bogusławska w roli Karoliny była najzupełniej na wysokości zadania. P. Nowicki niewiele mógł zrobić z bezbarwnej dosyć postaci Antoniego Mairaut; za to p. Frenkiel zaliczy rolę Dupont'a do swych najlepszych kreacyj. Świetny wogóle ten aktor wyposażył postać przebiegłego egoisty w tyle charakterystycznych szczegółów (w scenach np., poprzedzających wizytę rodziców Antoniego, a zwłaszcza przed przybyciem do domu Anieli), traktował ją z taką prawdą i szczerością, na jakie tylko zdobyć się może pierwszorzędny talent artystyczny.

Takim również talentem pierwszorzędnym jest niewątpliwie i pani Siemaszkowa, kończąca właśnie swe występy gościnne na scenie warszawskiej i mająca podobno pozostać na niej na stałe. Byłby to cenny i ze wszech miar pożądany nabytek dla teatru naszego, gdzie krzykliwość, jaskrawość, efekty i efekciki, obliczone na poklask wśród najmniej wybrednej części widzów, stały się niemal główną zasadą gry większości artystek. To, co przynosi teatrowi warszawskiemu Siemaszkowa, jest wprost antytezą wad wymienionych. Ma ona dar niezrównany wcielania się w odtwarzane postacie, życia ich życiem, przejmowania się do głębi duszy ich uczuciami. Znakomita artystka nie gra na scenie roli Julki („W sieci“) lub Ireny („Złote runo“), ale poprostu jest Julka, Irena, Młynarką lub czem chcecie, a przez to samo o jakimś fałszu lub przesadzie nie może nawet być mowy. Swoboda, naturalność i szczerość, umiarkowanie w głosie i w ruchach, nie wyłączające zresztą w chwilach właściwych ani akcentów głębokiego liryzmu, ani potężnych wybuchów dramatycznych — oto zasadnicze cechy wielkiego talentu Siemaszkowej, stawiające tę artystkę w jednym szeregu z najznakomitszemi jej poprzedniczkami na scenie polskiej wogóle. Taka siła dramatyczna powinna pozostać w Warszawie i znaleźć tu odpowiednie pole dla wszechstronnego rozwoju swych niepospolitych zdolności.

Na zakończenie należy się słówko dorocznemu popisowi uczniów i uczenic war-

szawskiej szkoły dykcyi i deklamacyi przy Towarzystwie muzycznem. Dalecy jesteśmy od zamiaru przepowiadania panom lub pannom X, Y, Z świetnej przyszłości artystycznej na zasadzie kilku pojedynczych scen, odegranych przez nich na popisie. Byłoby to mniej więcej to samo, co rozpływać się nad potężnym talentem młodego wirtuoza, który odegrał wobec nas parę taktów Ballady Chopina lub Sonaty księżycowej Beethovena, a wygląda tem śmieszniej u naszych urzędowych sprawozdawców, że najczęściej jeden z nich podnosi i wychwala zdolności protegowanej aspirantki, o której drugi ledwie wspomnieć raczy, i *vice versa*. Co jednak podnieść można, to pomyślny rozwój szkoły wogóle, w kierunku zwłaszcza zapanowania nad trudnem i pięknem narzędziem, jakiem jest mowa ludzka, oraz niewątpliwą inteligencyę i dobre chęci ogółu uczniów i uczenic. O innych przymiotach przyszłość dopiero będzie coś mogła powiedzieć.

W wyborze scen popisowych przeważał repertuar współczesny („Odrodzenie,“ „Koniec Sodomy,“ „Pietro Caruso,“ „W sieci,“ „Z dobrego serca“). Pewne uwzględnienie znaleźli również Fredro, Korzeniowski i Słowacki. O Shakespeare'a nie pokuszono się wcale, chociaż ciekawem byłoby wypróbować sił młodych i w tym kierunku.

Na zasadzie słyszanych prób sądzimy w każdym razie, że teatr Rozmaitości, uskarżający się wciąż na brak dobrych aktorów i aktorek do ról dramatycznych, mógłby częściej, niż dotąd, zapuszczać swe sieci do tego opromienionego słońcem młodości jeziorka, które od pewnego czasu zastępuje u nas z powodzeniem właściwą szkołę dramatyczną.

Wł. Bukowiński.

Notatki literackie i artystyczne.

Kartony Stachiewicza. Piotr Stachiewicz wykonał do *Quo vadis* Sienkiewicza 22 kartony „en grisaille,“ tj. używając tylko farb białej i czarnej. Dla podniesienia jednak efektu, ciała ludzkie podbarwiał tonem różowym. Nie wiemy tylko, czy ta cecha będzie zachowaną w reprodukcyach światłodrukowych, które zapowiedziano w wydaniu książkowem. Z oryginałów urządzono osobną wystawę w Towarzystwie zach. szt. pięknych.

Stachiewicz znany jest szerszej publiczności i jest jej ulubieńcem. Bez wątpienia, jest to artysta z dużym talentem i wyrobieniem i potrafi nieraz zdobyć się na pracę piękną. Niezawsze jednak natchnienie przychodzi na zawołanie, wtedy właśnie, gdy spada obstalunek. Wówczas artysta staje się tylko mniej lub bardziej sumiennym wykonawcą pewnych szablonów kompozycyjnych. Widzimy to i w większości omawianych kartonów.

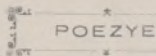
P. Stachiewicz wierzy przedewszystkiem w aparat fotograficzny, a potem w swą umiejętność wykończenia wszystkiego sumiennie i poprawnie. Aparat jednak lubi czasem płatać figle, i nie radzimy nikomu zaufać mu zbytnio. Wszystkie perspektywy architekturalne mają u p. Stachiewicza pozory wielkiej sumienności i dokładności fotograficznej. Że jednak aparat albo mu nie dostarczył pierwszych planów, albo je pokrzywił, jako zbyt blizkie, więc wyprawiają one jeszcze straszniejsze orgie, niż Nero i Petroniusz. Posadzki zwijają się, jak faworki, stopnie schodów się walą, na mozajkach wydymają się jakieś pęcherze. Prawie wszystkie pierwsze plany wyginają się strasznie i cierpią na równi z pierwszymi chrześcianami za prawdę... ale tylko prawdę perspektywiczną, którą artysta, niby drugi Nero, sponiewierał. Za to ci bohaterowie chrześciańscy i inni zachowują się albo zbyt spokojnie, albo też melodramatycznie. Wogóle kompozycya pojętą jest szablonowo i ma dwa błędy techniczne, zamaskowane jednak zręcznie starannem „wypiłowaniem“ roboty.

Rysując Ligię w kąpieli, p. Stachiewicz pamiętał tylko słowa Nerona, że jest „za wązka w biodrach.“ Petroniusz jednak podpowiedział je tendencyjnie, a więc może niezgodnie z prawdą. Zato Sienkiewicz na każdej stronie przedstawia Ligię, jako istotę poetyczną, idealną i piękną. Lecz artysta zapamiętał tylko owe biodra i wykazał w prze-banalnej formie nagie plecy ze zbyt wązkiemi istotnie biodrami, ale plecy pierwszej lepszej, zwyczajnej i nieładnej modelki o bardzo pospolitych liniach całego ciała. O poezyi i wdzięku, o idealności i tej jakby przezroczystości eterycznej ciała, mowy tam niema wcale. Wiemy, jak w starożytności i w wiekach średnich zabudowywano się ciasno w miastach, tymczasem artysta skromnej sadzawce w skromniejszym jeszcze ogródku Aulusa nadał rozmiary wielkiego stawu w Łazienkach, a zato łabędzie jego mają wielkość kaczek.

Momentów najpiękniejszych, najdramatyczniejszych p. St. jakby unikał skromnie, lub też pojmował je niemal operetkowo, jak np. „Śmierć Petroniusza.“ Kartony: „Eunice,“ „Z rozkazem cezara,“ „Hymn cezara,“ „Ty będziesz duszą mojej duszy,“ „Petroniusz u siebie,“ są poprostu śmieszne, jako kompozycye. O wiele lepsze są te, których założenie było daleko trudniejsze. Widocznie artysta bardziej się przejął ich treścią i lepiej je odczuł. Tak np. „Quo vadis, Domine?“ jest bardzo dobrze pojęte; to samo „Kazanie św. Piotra,“ „Śmierć Chilona,“ „Chilo i Ursus,“ a także dwa kartony, oparte na efekcie krajobrazowym: „W ogródku Linusa“ i „Gra w piłkę,“ oba zresztą nie pozbawione błędów.

W każdym razie prace te stoją nierównie wyżej od przeciętnie u nas wykonywanych ilustracyj. Najlepszy to dowód, że przy odpowiednich warunkach ze strony wydawców mogą się znaleźć śród naszych artystów dobrzy wykonawcy. I te same kartony Stachiewicza uniknęłyby pewno większości błędów, gdyby artysta mógł robić do nich studya źródłowe, nie posługując się dla pośpiechu przeróżnemi sztuczkami i sposobikami, które z naszych ilustracyj robią najczęściej zdawkowe szablony.

Sierp.



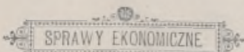
FRAGMENT.

Z nad pól, z nad jasnych hal,
W orłową pierś zakuta,
Przez świat, w błękitną, siną dal
Rozdźwięków szumi nuta.

Już drży, już tchnieniem burz
Rozwiewa liść jaśminu,
Otrząsa rosy z bladych róż,
Z zadumy rwie do czynu.

I już po kłosie kłos,
Na łanach przebudzony,
Odczuwa życia jędrny głos,
Pełniejsze daje plony.

Zygmunt Kr.



Robotnicy rolni w Belgii.

Belgijskie ministeryum rolnictwa wydało w roku zeszłym ciekawą i cenną monografię, dotyczącą stosunków rolniczych tego kraju *). Znaczna część monografii poświęcona jest stosunkom społecznym w zakresie rolnictwa, między innemi także stosunkowi, zachodzącemu między pracodawcami i robotnikami rolnymi oraz położeniu tych ostatnich. Z tej części tego urzędowego wydawnictwa przytoczymy kilka ważniejszych, a pouczających danych.

Jak wszędzie, tak i tu istnieją dwie kategorye robotników rolnych: stała służba folwarczna oraz najemnicy dzienni, używani w czasach robót pilniejszych. Ogólna tendencya zmierza w kierunku redukowania do możliwego minimum służby stałej, a posługiwania się wyłącznie najemnikami czasowymi; jak zapewnia monografia, i robotnicy wolą taki stosunek, który zapewnia im większą swobodę ruchów i pozwala, kiedy zechcą, iść do miasta, do fabryki. Ale właśnie z drugiej strony ciągłe emigracye ludności wiejskiej do miast i fabryk i pochodzące stąd trudności dostania najemników w odpowiedniej chwili zmusza właścicieli większych folwarków do trzymania większej, niżby potrzeba było, liczby służby stałej. Monografia dzieli wszystkie majątki na cztery kategorye pod względem rozmiarów: wielkie majątki od 100 do 200 hektarów *), średnie od 60 do 100, drobne od 15 do 60, i najmniejsze—poniżej 15 hekt. Otóż autor monografii uważa juza skutek tej konieczności zaopatrywania się w stałą służbę wobec trudności dostania najemników to, że w kategoryi wielkich majątków — od 6 do 12 włók, a więc odpowiadających zupełnie naszym średnim, a nawet mniej niż średnim majątkom ziemskim — trzeba czasem trzymać, jak np. w prowincyi Leodyum, od 6 do 10 osób stałej służby. Służba ta składa się z rządcy, 2 do 5 parobków, jednego pastucha krów i 2 do 3 dziewek; czasami trzyma się jeszcze owczarza albo pasterza nierogacizny. W majątkach średnich (zatem 4 do 6 włók) trzyma właściciel, względnie dzierżawca, najmniej dwóch parobków, jedną dziewkę i pastucha. Oczywiście, jednocześnie bardzo jest rozpowszechnione użycie najrozmaitszych maszyn rolniczych: siewników, kosiarek, młockarni, żniwiarek, maszyn do przewracania siana, do zbioru kartofli i buraków, itd.

Służba stała najmowana jest zwykle około 15 marca, za kontraktem całorocznym, rzadko (tylko we Flandryi) miesięcznym. Zwracam uwagę na wysokość płac: zarządzający z wyższem wykształceniem fachowem otrzymuje 720—1,200 franków rocznie, rządca z niższym stopniem wykształcenia — 320—540 fr., parobek 240—480 fr., pastuch bydła 180—480 fr., nierogacizny 60—100, owczarz 420—600, dziewka 144—360 fr. rocznie. Oprócz tej pensyi, służba otrzymuje mieszkanie i jedzenie pięć razy dziennie: w godzinę po wstaniu, czyli o g. 4½ w lecie, o 5½ w zimie, pierwsze śniadanie, o 8 lub 8½ drugie śniadanie, na każde kawa, chleb z masłem lub serem, kawałek mięsa lub słoniny; na obiad — zupa, mięso, jarzyny, chleb, piwo; podwieczorek o godz. 4, kolacya o 6½, w lecie o 7½ wieczorem. Wogóle, jedzenie służby folwarcznej nie różni się prawie od jedzenia państwa.

Do robót wiosennych sprowadzać trzeba najemników gromadami z okręgów kraju mniej przemysłowych. Ci otrzymują płacę akordową, a mianowicie: za żęcie zboża 12—15 fr. *od hektara* (czyli 8—11 rubli od morgi), za wiązanie i kopienie 7 fr., za koszenie 8—12 fr., za robotę koło buraków i kartofli 35—50 fr. od hektara, oprócz tego kartofle i piwo. W niektórych tylko miejscowościach (jak Limburg) przechowuje się jeszcze sposób wynagradzania w naturze: np. dwudziesty lub szesnasty snopek, piętnasta lub osiemnasta część wy-

*) „Monographie agricole de la Région Limoneuse et Sablo-Limoneuse.“ Bruxelles, 1901. Ministère de l'agriculture.

*) Hektar = nieco więcej, niż 1¾ morgi; włóka = prawie 17 hektarów. Tej kategoryi majątki prawie zawsze połączone są z cukrowniami.

młóconego zboża (tylko tam, gdzie się jeszcze młóci cepami).

Autor monografii wysoko stawia zalety robotników rolnych obu kategoryj, ich pracowitość i umiejętność.

Pomimo tak wysokich zarobków, robotnicy rolni dążą do wyjścia ze stanu najemnego, a to dwiema drogami. Jedni wszelkiemi siłami, oszczędzając na wszystkiem, dążą do kupienia na własność albo częściej wydzierżawienia kawałka gruntu, albo do powiększenia posiadanego, bo wielu z nich ma drobne działki. Jednak monografia ministeryum rolnic. stwierdza, że w ten sposób nie polepszają oni swej doli, lecz przeciwnie ją pogarszają, gdyż brak kapitału nie pozwala im należycie gospodarować. Posyłają przeto swych synów w porach roku, kiedy ich mniej potrzebują, do fabryk i kopalni, aby powiększyć zarobek rodziny i zdobyć grosz potrzebny na spłacenie dzierżawy. W ten sposób powiększa się drugi, główny prąd: od rolnictwa do przemysłu. A do miasta, do robót budowlanych i ziemnych, do fabryk i kopalń ciągnie robotnika wiejskiego, jak stwierdza monografia, nietylko widok wyższego zarobku, ale przedewszystkiem — bardziej urozmaicone, bardziej kulturalne życie, możność nieulegania ciągłej kontroli rodziców i zwierzchników. Owo „miejskie powietrze, które w średnich wiekach, podług znanego przysłowia: „robiło wolnym człowieka“ i przyciągało tych zbiegów z poddaństwa, zachowuje dotychczas wszędzie i zachowywać musi swe działanie.

K. Rad.

PRASA ROSYJSKA

Nowoje Wremia pomieściło korespondencyę z Warszawy p. S. Aleksiejewa, w której między innemi spotykamy następujące twierdzenia:

„Przed laty dwudziestu w inteligentnem społeczeństwie polskiem można było odróżnić dwa wyraźne kierunki: konserwatywny i postępowy. Konserwatyści byli zwolennikami zasad arystokratycznych i idealizowali przeszłość Polski, postępowcy zaś dowodzili konieczności zdemokratyzowania społeczeństwa polskiego i widzieli główne przyczyny upadku Polski w ustroju arystokratycznym rzeczypospolitej oraz w fanatyzmie katolickim klas rządzących. Przed trzydziestu, a nawet piętnastu laty, pomiędzy tymi obozami wrzała zażarta walka, która jednak ustała, a różnice, dzięki wzajemnym ustępstwom, wygładziły się i społeczeństwo polskie przedstawia silnie spojoną i zjednoczoną całość. Postępowcy pogodzili się z katolicyzmem i zmienili swój pogląd na przeszłość Polski, a stało się to głównie pod wpływem poetyzujących przeszłość powieści Sienkiewicza. Z drugiej znów strony konserwatyści zdemokratyzowali się. Jak silnie jest skupione społeczeństwo polskie, dowiodło zebranie w krótkim czasie funduszów na pomnik Mickiewicza w Warszawie i na dar dla Sienkiewicza, oraz inne fakty, jak np. sprawa wrzesińska, która znalazła wśród wszystkich Polaków oddźwięk gorący i jednomyślny. Polacy galicyjscy mniej są skupieni od pozostających pod panowaniem Rosyi i Niemiec, wszelako w sprawach ważniejszych i oni działają z całą jednomyślnością... Pogodzeniu się postępowców polskich z katolicyzmem, oraz demokratyzacyi duchowieństwa i arystokracyi w pewnej mierze pomógł „socyalizm katolicki,“ ogłoszony przez Leona XIII. Dbałość o maluczkich gra teraz ważną rolę w społeczeństwie polskiem, a dobroczynność, oświecanie i poprawa położenia włościan i robotników wysuwa się na plan pierwszy... Działacze polscy postawili sobie obecnie za cel wygładzenie różnic pomiędzy wyższemi a niższemi klasami ludności, przywiązanie jednych do drugich. Tą drogą chcą oni wzmocnić polską siłę narodową i unicestwić całe dzieło Miłutina i Czerkaskiego w Królestwie Polskiem. Tego jednak dopiąć niełatwo.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Dane o ruchu przesiedleńczym na Syberyę w roku 1901, ogłoszone w *Prawit. Wiest.* wykazują, iż ogółem przesiedliło się tam z Rosyi europejskiej 128,131 ludzi. Najwięcej przesiedleńców dostarczyła gub. Połtawska, następnie: Czernichowska, Mohylowska, Witebska, Kurska i inne, przeważnie środkowe i wschodnie. Najmniej dały gubernie Królestwa Polskiego oraz Jarosławska, Moskiewska, Petersburska i Nowogrodzka; z Ołonieckiej nie było ich wcale. Powróciło zaś w ciągu roku aż 55,233 przesiedleńców, co tłomaczy się nieurodzajem, trwającym od dwóch lat w wielu miejscowościach Syberyi.

— Zatwierdzoną została ustawa Towarzystwa śpiewackiego w Żyrardowie.

— Poseł ludowy Stapiński podał w sejmie galicyjskim wniosek o zaprowadzeniu języka polskiego w tych urzędach, w których dotąd obowiązuje język niemiecki.

— Rada miejska w Stanisławowie, w Galicyi, została rozwiązana za przekroczenie swej kompetencyi, gdyż uchwaliła protest przeciw mowie malborskiej.

— Gnieźnieński sąd karny skazał panią Kantorczykową na 10 miesięcy więzienia za bunt, naruszenie spokoju publicznego i obrazę nauczycieli wrzesińskich; p. Paliszewskiego na rok i dwa miesiące więzienia za bunt i naruszenie spokoju publicznego; terminatora Wiśniewskiego zaś na trzy tygodnie aresztu za nieodpowiednie zachowanie się publiczne.

— Studenci uniwersytetu w Bernie urządzili kocią muzykę prof. Vetterowi za to, że podczas otwarcia muzeum niemieckiego w Norymberdze nazwał Szwajcaryę „duchową prowincyą Niemiec.“ Policya natarła na manifestantów i kilku z nich raniła. Następnego dnia studenci zebrali się znowu przed mieszkaniem profesora, gdzie powtórzyli manifestacyę, lecz już bez przeszkód ze strony policyi.

— Dla uczczenia pamięci zmarłej niedawno głośnej malarki świata dziecięcego, Kate Greenway, postanowiono założyć w Londynie żłobek jej imienia w miejscowym szpitalu dla dzieci.

Niepoprawni. Pisma galicyjskie i wiedeńskie powtarzają wiadomość, że pewien członek arystokracyi polskiej podczas gry hazardowej przegrał 700,000 rb. i sumę tę wypłacił natychmiast. Kosztowna ta zabawa miała się odbyć w jedym z klubów tutejszych.

Szkoły i wychowanie. Na pierwszy kurs agronomiczny szkoły Rontalera przyjmowani będą kandydaci bez egzaminów, posiadający świadectwa z ukończenia 5 klas szkół realnych rządowych; uczniowie gimnazyalni zaś obowiązani są złożyć egzamin dodatkowy z nauk przyrodniczych i fizyki, podług programu szkoły.

— Na posiedzeniu wydziału studenckiego w Darmsztadzie przeszedł wniosek, ażeby cudzoziemcy uiszczali podwójną opłatę za naukę. Żądanie to rozstrzygnie zjazd delegatów.

— Dla interesowanych pomieszczamy następujące zawiadomienie: „Kolegom, którzy chcą wstąpić do górniczo-hutniczej Akademii w Leoben, udziela wszelkich informacyj o tym zakładzie, oraz o warunkach i stosunkach życia tutejszego, do d. 1 sierpnia i od 1 października r. b. stowarzyszenie „Promień„— Peter-tumer Strasse 152 w Leoben, a od 1 sierpnia do października kol. Paweł Setkowicz — Wilopole nr. 6 w Krakowie i kol. I. Paderewski — ul. Podolska nr. 23 w Żytomierzu.“

— Zarząd kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, wobec coraz liczniejszego zgłaszania się studentów i uczniów różnych technicznych zakładów naukowych o przyjmowanie ich podczas feryj letnich na praktykę do warsztatów głównych lub na linię, wydał przepisy następujące: kandydaci obowiązani są przedstawić zarządowi kolei pozwolenie zwierzchności danego zakładu naukowego na odbywanie praktyki i deklaracyę, że nie będą wymagali wynagrodzenia za czas zajęć, oraz stosować się będą do przepisów i porządków, obowiązujących na kolei. Właściwy naczelnik służby wyznacza osoby, pod których kierunkim praktykanci odbywać mają swe zajęcia. W celu przyjścia z pomocą niezamożnym studentom i uczniom praktykantom, oraz dla zachęcenia ich do pracy, wyjednywany będzie corocznie fundusz, który, w stosunku do pracy i uzdolnienia, dzielony będzie podług norm następujących: studenci wyższych kursów (III, IV i V) otrzymywać będą po 1 rb. 50 kop.; niższych po 1 rb., uczniowie średnich szkół technicznych po 75 kop. i niższych po 60 kop. dziennie. W razie zgłoszenia się znaczniejszej ilości praktykantów, wysokość wynagrodzenia normowana będzie względnie do ich liczby.

Wiadomości naukowe. Na konkursie im. Kaczorowskiego, ogłoszonym przez wars. Tow. lekarskie, przyznane zostały dwie nagrody po 300 rb. Jedną otrzymał dr. Anastazy Landau za pracę pod tytułem „Ciśnienie ustrojowe krwi i moczu u ludzi zdrowych i chorych,“ drugą dr. Wacław Polański za pracę „Charakterystyka zewnętrzna osób, dotkniętych gruźlicą płuc.“ Obadwaj nagrodzeni pochodzą z Warszawy.

Sprawy ekonomiczne. Zatwierdzoną została ustawa Towarzystwa akcyjnego zjednoczonych stolarzów warszawskich, którego kapitał zakładowy wynosi 200,000 rubli.

— W Petersburgu utworzył się komitet w celu zorganizowania międzynarodowej wystawy ubiorów tegoczesnych i starożytnych. W dziale historycznym zamieszczone będą rozmaite starodawne ubiory i stroje, koronki, wachlarze, biżuterya, miniatury, nawet tabakierki i laski. Dział zaś współczesny obejmuje poddziały następujące: 1) materye, futra i skóry, 2) ubranie i bielizne, 3) obuwie, 4) przybrania głów i kosmetyki, 5) różne dodatki do strojów, wreszcie 6) biżuterya. Prócz tego w osobnym dziale znajdować się będzie literatura przedmiotu: książki, pisma, fotografie, rysunki i sztychy.

— Przy oddziale warszarskim Tow. przemysłu i handlu ma wkrótce powstać „delegacya wyrobów krajowych,“ której zadaniem będzie popieranie i ułatwianie ich zbytu.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zezwoliło na wprowadzenie miar metrycznych w warszawskim zarządzie miejskim, lecz bez obowiązku używania tego systemu w stosunku z osobami prywatnemi.

— Misteryum rolnictwa poruszyło sprawę skierowania wychodźtwa ludności z Królestwa Polskiego na grunta skarbowe w kraju zakaukaskim. (*Pet. Wied.*).

— Najwyżej zatwierdzona rada w sprawie potrzeb przemysłu rolnego, rozpatrzywszy sprawę organizacyi drobnego kredytu ludowego, w celu udzielenia praktycznych wskazówek komisyi przygotowawczej, której powierzone będzie opracowanie tego zadania, uchwaliła: Utworzyć komisyę przygotowawczą pod prezydencyą rz. r. st. Terkena, udzieliwszy mu prawa powoływania do niej osób, których udział uzna za pożyteczny, i prace komisyi tej oprzeć na zasadach następujących: 1) Obowiązujące dotychczas przepisy w instytucyach drobnego kredytu w zupełności odpowiadają swemu zadaniu, ustawy zaś i przepisy banków wiejskich i gminnych, jako też innych instytucyj typu specyalnego, które zachowały poprzednią organizacyę, domagają się przejrzenia. 2) Na szczególną uwagę zasługuje sprawa organizacyi wydawania przez kredytowe instytucye wiejskie pożyczek na zastaw zboża. 3) W celu kierowania operacyami drobnego kredytu, tworzy się pod władzą ministeryum skarbu odpowiedni zarząd z udziałem przedstawicieli innych zarządów pokrewnych, jako też powołaniem do pracy w nim przedstawicieli ziemstw i instytucyj kredytu drobnego. 4) Opiekę nad instytucyami kredytu drobnego powierza się zarządom ziemskim, oprócz instutucyj typu specyalnie stanowego, które zatrzymują organa administracyjne do spraw włościańskich. 5) Celem zaopatrzenia powstałych instytucyj drobnego kredytu w kapitały zakładowe, do rozporządzenia wymienionego zarządu sprawami kredytu drobnego przeznacza się suma specyalna; użycie jej warunkuje się zwrotem przez instytucye kredytowe pożyczanych kapitałów, które w miarę wpływu obracają się na wzmocnienie udzielonej zarządowi sumy.

Ze sztuki. Na konkursie ogłoszonym z inicyatywy osób prywatnych przez Towarzystwo artystyczne na projekt domu jednopiętrowego w stylu swojskim przyznano: pierwszą nagrodę (300 rb.) pan Wł. Jabłońskiemu z Wiednia, drugą (200 rb.) p. Henrykowi Gay z Warszawy, trzecią (100 rb.) p. Józefowi Holewińskiemu, studentowi politechniki warszawskiej. Prócz powyższych inicyatorowie konkursu zakupili projekt p. J. Heuricha z Warszawy. Przyznano również na-

grody za projekty: umeblowania pokoju jadalnego—p. W. Gosienieckiemu z Gniezna (300 rb.); biurka, kredensu i zegara—godło „W. Brzega“ (105 rb.); szafy, umywalni i łóżka — p. Janowi Bukowińskiemu z Krakowa (105 rb.); zegara, stołu i kredensu — p. E. Trojanowskiemu z Krakowa (105 rb.), dla dekoracyjnego ściany — S. Dobrowolskiemu z Warszawy (35 rb.); biblioteki — p. K. Porczyńskiemu z Warszawy (35 rb.).

— Zarząd Stowarzyszenia artystów polskich w Krakowie ogłosił konkurs na afisz dla I-go Salonu polskiego. Warunki konkursu są następujące: 1) Afisz ma być tak skomponowany, aby się dał wykonać litograficznie z użyciem najwyżej trzech barw. 2) Nie powinien zawierać napisu, na który również nie należy zostawiać wolnego miejsca. 3) Projekty nadsyłać można najpóźniej do dnia 31 sierpnia r. b. Wielkość afisza dowolna. Projekty w zwykłej formie konkursowej przyjmuje kancelarya Towarzystwa przyjaciół sztuk piękn. w Krakowie (plac Szczepański nr. 4). Jako honoraryum za projekt, uznany przez wydział Stowarzyszenia art. pol. za najlepszy, wypłaci kancelarya Tow. przyjaciół sztuk pięknych 300 koron. Projekt nagrodzony przejdzie na własność Towarzystwa.

Komunikacye. Na stacyi głównej telegrafu rządowego w Warszawie jest czynnych 75 aparatów, a liczba depesz dziennie wynosi około 2,000 nadchodzących, tyleż wysyłanych i 20,000 przechodzących. W porze letniej liczby te jeszcze bardziej wzrastają.

Katastrofy. Powódź nawiedziła okolice Śląska Górnego i Austryackiego, położone nad Odrą i Wisłą. Wylew rzek był tak wielki i szybki, że mieszkańcy niektórych wiosek zaledwie z życiem ujść zdołali.

— W Paneiro (prowincya Orense w Hiszpanii), podczas nabożeństwa w kościele, uderzył piorun, powodując śmierć 25 osób. Kilkadziesiąt odniosło rany.

— Dnia 29 z. m. na kolei Petersburskiej, pomiędzy stacyami Mszynskaja i Preobrażeńskaja rozbił się pociąg osobowy skutkiem rozluźnienia szyn. Palacz i jeden podróżny ponieśli śmierć na miejscu. Ciężko poranionych jest kilka osób.

— W Valparaiso pod Talca, na rzece Claro runął most w chwili, gdy przejeżdżał pociąg osobowy. Wszystkie wagony spadły do rzeki, a z podróżnych uratowali się tylko ci, którzy zdołali wydostać się na dachy wystających z wody wagonów.

Odpowiedzi Redakcyi.

Chamowi z P...l. Z rękopisu Pańskiego korzystać nie będziemy. Tłomaczenia, o które Sz. Pan zapytuje, zużytkowaćbyśmy nie mogli.

OFIARY.

— Dla uczczenia pamięci Joanny Jabłkowskiej — Bracia Jabłkowscy rb. 32 na wpis dla studenta politechniki.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Іюня 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.